

ALFRED HITCHCOCK

**ZŁOTY STRZAŁ
PERKUSISTY**

NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: **KRYSTYNA BOGLAR**)

ROZDZIAŁ 1

CO SIĘ PRZYDARZYŁO PAMELI CARROL?

- Wiesz, kto przyjeżdża do Rocky Beach? - głos Boba brzmiał tryumfalnie.

- Nie - odparł leniwie Jupiter Jones. - Prezydent Clinton?

Bob odwrócił się gwałtownie. A nie powinien. W Kwaterze Głównej znów było ciasno niczym w puszcze sardynek. Zbyt ciasno jak na trzech detektywów, komputer, telefon, zieloną kanapę i klatkę ze sztuczną papugą. W przyczepie kempingowej usytuowanej na tyłach składu złomu w peryferyjnej dzielnicy Rocky Beach tłamsili się od zarania dziejów. Z krótką przerwą na doki u wybrzeży. Ale wysoki czynsz wygonił ich, zanim zdążyli polubić wiatr od Pacyfiku. Bob potarł stłuczony łokieć.

- Ciebie tylko prezydent satysfakcjonuje? Przyjeżdżają chłopaki z High Tower Record!

Jupiter oderwał wzrok od kartki papieru.

- Zespół? Sławny zespół rockowy?

- Tak. Ci sami, których wypromowała agencja Saxa Sendlera. Pamiętasz, kiedyś tam pracowałem. Poznałem mnóstwo muzycznych sław!

- To postaraj się o wejściówki, co?

Bob przygryzł wargi.

- Nooo nie wiem...

- Czego on znów nie wie? - spytał Pete Crenshaw otwierając drzwi przyczepy. - Słyszeliście nowinę?

- Jaką? - spytali równocześnie.

- Przyjeżdża zespół High...

- Tower Record - wymruczał Bob. - Wiemy. Zastanawiamy się, jak się tam dostać. Wystąpią w tej hali kosmicznej u Saxa Sendlera. Na Bloomsbury Street. Trzy tysiące miejsc. A na pewno zjawią się fani z całej Kaliforni, od San Francisco do San Diego.

- Solistką jest Calista. Seksbomba z mieszkankiem w Beverly Hills. Sam basen ma pół mili szerokości! - Bob przebiegał nerwowo palcami po klawiaturze komputera.

- To jej chata. Chcecie zobaczyć?

Pewnie by chcieli, gdyby nie stało się to, co się stało. I było ze wszech miar wstrząsające: w drzwiach Kwatery Głównej pojawiła się zjawa pod postacią nagiej kobiety w ostrej czerwieni.

- Zgiń, przepadnij, siło nieczysta! - zaszczekał zębami Jupiter Jones. - Kim jesteś?

Pete Crenshaw ominął wzrokiem długie, pozlepiane włosy, piersi wystające z kawałka brudnej tkaniny frotte, zatrzymując się na smukłych nogach i bosych stopach, po których, aż na podłogę, skapywało to coś okropnie czerwonego...

- Boże, krew! - wyjąkał Bob zasłaniając oczy.

- Nie - odparła zjawą, chwiejąc się na nogach. - To tylko wyciąg z pomidorów z dodatkiem witamin... zostałam odurzona jakimś świństwem i napadnięta... - dodała słabnącym głosem. - Ja...

Pete rzucił się na pomoc. Podtrzymał dziewczynę, zanim osunęła się na podłogę.

- Coś na wzmocnienie! - wrzasnął.

- Co, na przykład? - zdziwił się Bob Andrews otwierając oczy. Ale nie do końca. Mrużył je, by zmniejszyć na siatkówce intensywność czerwieni.

Jupiter Jones już spokojnie oceniał sytuację.

- Skoro to nie krew, trzeba umyć dziewczynę. Nie możemy rozmawiać w takiej... takiej... no... sytuacji. Proponuję prysznic. Ale nie w domu ciotki Matyldy, tylko nasz, ten za przyczepą.

- Mówisz o... wężu ogrodowym? - zacukał się Bob.

- Tak. Jest bardzo ciepło. A masz inny pomysł?

Dziewczyna z trudem przezwyciężała chwilową słabość.

- Dobrze. Ale ja... sama. Bo nie mam ubrania. Zostało w gabinecie kosmetycznym. U Izy. Ja tam... nie wrócę...

Przez następne dwadzieścia minut chłopcy, z uwagą godną całej skomplikowanej sytuacji, nasłuchiwali szumu wody. Nie da się ukryć, że naga postać w czerwieni zrobiła na całej trójce piorunujące wrażenie.

- Mówiła, że co ma na sobie? - dopytywał się Bob.

- Tomato coś tam z witaminami! - roześmiał się Pete. - Słyszałem o kąpielach błotnych, ale w pomidorach? Pierwszy raz...

- Moja mama robi sobie czasami maseczkę z ogórka - powiedział niepewnie Bob. Wciąż czuł się głupio. Dziewczyna, chociaż w ręczniku, była jednakowoż... naga.

Jupiter wyciągnął z głębi zielonej kanapy jakiś spory kawał tkaniny. Szarpał się z nią, mruczając pod nosem:

- To są stare zasłony z kuchennych okien ciotki Matyldy. Kupiła nowe, zielone

i... - rozległ się trzask pękającego płótna.

- Wystarczy, by się tym omotała! - pokiwał głową Bob. - Nie jestem tylko pewien, czy zaakceptuje ten wzór w kaczki...

- Gęsi - sprostował Jupiter. - Są białe z żółtymi dziobami. Gustowne. Idę jej podrzucić.

Ostrożnie wyjrzał zza przyczepy. Dziewczyny nie było widać. Tylko na blaszanym parkaniku wisiał ręcznik pochlapany pomidorami.

- Hej! - zawołał poprzez szum wody. - Tutaj masz hinduskie sari. W gęsi. Hej, jak się masz?

Szum ustał. Chwilę trwało milczenie.

- Lepiej. Macie coś do picia?

- Tylko coca-colę.

- Może być. Dziękuję za szmatkę. Zaraz przyjdę.

W przyczepie panowała gorączkowa atmosfera.

- Gdzie jej będzie wygodniej? - miotał się Pete latając wokół biurka.

- Na kanapie - wrzucił ramionami Jones. - Może usiąść, skoro się wyprała z keczupu... - umilkł, bo właśnie dziewczyna stanęła w drzwiach. I była to prześliczna dwudziestolatka z długimi blond włosami, w których ciągle jeszcze połyskiwały pasemka czerwieni. Szczelnie owinięta gęsiowatym perkalem, usiadła na wskazanym miejscu i, bez ostrzeżenia, rozplakała się w głos.

Jupiter osłupiał. Bob znów zakrył oczy dłońmi. Tylko Pete znalazł się, jak trzeba: przykucnął, obejmując kolana dziewczyny mocnym, męskim uściskiem.

- No, już dobrze - przemawiał czule - już po wszystkim.

Jupiter zazgrzytał zębami. Zawsze zazdrościł Crenshawowi tego, że wiedział, jak się zachować. W stosunku do kobiet, naturalnie.

- Może ona by powiedziała wreszcie, o co chodzi - wykrztusił.

Pete rzucił spojrzenie, które mogło zabić.

- Jest w szoku. Nie widzisz?

Bob przyskoczył z otwartą puszką coli. Dziewczyna przestała płakać. Wyciągnęła rękę o krótkich, różowych palcach, podnosząc puszkę do ust. Trochę płynu pociekło po dużej gęsi - przywódczyni stada.

- To było okropne - wyjąkała. - Poszłam do Izy, do zakładu kosmetycznego. Nazywa się "U Izy". Zgodnie z umówioną...

- O której? - Bob, jak przystało na czołowego dokumentalistę, siedział już przy klawiaturze komputera.

- O dziesiątej. Iza ułożyła mnie na leżance i nasmarowała grubą warstwą pasty pomidorowo-witaminowej. Z tym okładem tkwi się godzinę. Bez ruchu.

- I co było dalej? - Jupiter rozparł się w fotelu.

- Leżałam. Rozmawiałam z Izą, która nakładała mi na powieki tampony relaksujące...

- Nic nie widziałas, tak? - Bob stukał w klawiaturę.

- Nic. Iza mówiła coś o zespole, który ma dać jeden koncert w sali Saxa Sendlera...

- To High Tower Record! - pochwalił się wiedzą Pete.

- Wiem. Nagle Iza umilkła, usłyszałam jakiś hałas i zaraz potem ktoś mi przyłożył do ust nasączoną czymś gazę. Straciłam przytomność. Kiedy się obudziłam... poczułam, że jestem w ciemnym i zagraconym miejscu...

- Czy oni... - Pete zawiesił głos. Pytanie, jakie chciał zadać, należało do najtrudniejszych.

Dziewczyna zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Jeśli myślisz, że oni mi coś zrobili... to nie.

- Skąd wiesz, że to w ogóle byli mężczyźni? - zainteresował się Jupiter.

- Kiedy odzyskałam przytomność, usłyszałam dwa męskie głosy. Mówili coś o pomyłce. Że jestem blondynką, a tamta miała być brunetką. I coś jeszcze, czego nie pamiętam.

- Wzięli cię za kogoś innego - skinął głową Jupe. - Powiedz nam więc, kim jesteś. Bo jak dotąd zjawą w czerwonym sosie nie podała nawet swego imienia.

- Skumbria w temacie! - zachichotał cichutko Bob, milknąc pod surowym wzrokiem Crenshawa.

- Nazywam się Pamela Carrol. Jestem przyjaciółką Kelly Madigan i...

- To twoja była dziewczyna, Crenshaw - ucieszył się Jupiter. - Czy Kelly ci o nas opowiadała?

- Tak. O nim też - wskazała palcem na Pete'a. - Mówiła, że rozwiązujecie trudne zagadki detektywistyczne. I że siedzicie w tej przyczepie. Musiałam obejść park, skradając się wzdłuż ogrodzenia. Na szczęście nikogo nie spotkałam. W skąpym ręczniku, cała umazana pomidorami... niezły był widok! Ale marzyłam tylko, by uciec jak najdalej od tej piwnicy, w której mnie porzucili...

- Na twoje szczęście!

- No... nie wiem. - Pamela wyraźnie odzyskiwała formę. - Czy będę musiała tam wrócić? - W jej głosie brzmiał lęk. - Po swoje rzeczy... chociażby.

Jupiter Jones przecząco pokręcił głową.

- Mowy nie ma. Chcesz jeszcze raz przejść przez park na bosaka?

- To co proponujesz?

- My się tam udamy - głos Crenshawa brzmiał stanowczo - dasz nam tylko kartkę do właścicielki. Zabierzemy twoje rzeczy, a przy okazji zwiedzimy piwnicę. Zostaniesz tu do naszego powrotu. Możesz skorzystać z Internetu.

- Tylko nie ruszaj żadnego z moich plików! - ostrzegł Bob.

Gabinet kosmetyczny mieścił się trzy przecznice dalej, o krok od placyku zabaw dla dzieci. O tej porze było tam jeszcze bardzo mało ludzi. Na szklanych drzwiach wisiała kartka: zamknięte. Pete zapukał raz i drugi. Ukazała się przestraszona twarz młodej kobiety.

Bob przyłożył do szyby wizytówkę. Poskutkowało.

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja Bob Andrews

- Policja już tu była - wyszeptała przerażona brunetka o wyskubanych brwiach. Nos miała nieco podobny do dzioba ich wypchanej papugi.

- Sporządzili protokół? - spytał Pete, rzucając papudze szeroki uśmiech. - Dali pani do podpisu?

- No... nie... - zacukała się, w zdenerwowaniu rozwierając i zaciskając pięści.

- Proszę, to kartka od Pameli Carrol. Przyszła do naszej Agencji Detektywistycznej w stanie... no... Szoku pomidorowego. To jest... chciałem powiedzieć... w stanie ciekłym. W soku.

- Jestem Iza. Właścicielka. Proszę, wejdźcie. Zamknęłam zakład, bo się boję. Oni mogą wrócić i...

Jupiter Jones bacznie przyglądał się wnętrzu. Lustra, lusterka, dwie kabiny z

wygodnymi fotelami, czyste ręczniki, foliowe, jednorazowe prześcieradła i słoje, słoiki, szkło. Miło i przytulnie. W oknach muslinowe zasłonki i pęki sztucznych margerytek.

Iza usiadła na zydelku. Pete przycupnął na drugim. Patrzył jej głęboko w oczy.

- Jak to się stało?

Kobieta wskazała otwartą kabinę.

- Właśnie jej położyłam kompresiki na oczy, gdy usłyszałam, że ktoś wchodzi.

Krzyknęłam, że jestem zajęta, ale... ale...

Bob przyklęknął tuż obok leżanki.

- Są ślady. Tego keczupu. Wlaź w niego butem.

Jupiter Jones przykucnął obok.

- Jak na dłoni. Możesz zrobić zdjęcie? Bob nastawił polaroid, niezbędny w pracy dobrego dokumentalisty.

- I co było dalej? - Pete wciąż patrzył w oczy Izy, jakby ją chciał zahipnotyzować. Taki stary trik, sztuczka, zawsze przynosząca rezultaty w pracy z kobietami. Ani na sekundę nie spuścić wzroku z jej rozszerzonych źrenic. Nie pozwolić drgnąć powiece.

- Kątem oka dostrzegłam rękę, w niej białą złożoną gazę nasączoną czymś wstrętnym, przyłożył mi ją do nosa. Więcej nie pamiętam. Ocknęłam się długo później w drugiej kabinie, za szczelnie zamkniętymi drzwiami. Nie było ani oprawców, ani Pameli. Tylko przewrócona miska z resztką "tomatobright". Tej odżywki.

Bob uważnie zapisywał wszystko w notesie.

- Gdzie ta miska?

Potrząsnęła włosami. Były farbowane, z widocznym śladem odrostu.

- Posprzątałam.

Jupiter Jones wciąż badał ślady.

- Przed czy po przyjeździe policji?

Kobieta zamrugała powiekami. Wreszcie udało jej się uciec przed wzrokiem Crenshawa.

- No... przed. Był taki bałagan.

Bob załamał dłonie.

- Nie wie pani, że nie wolno zacierać śladów?

Jej nos wydłużył się o kilka centymetrów. Oddychała ustami niczym ryba wyrzucona na piasek.

- Już mi to mówił. Ten policjant.

- Sierżant Mat Wilson z posterunku w Rocky Beach?

Pokręciła głową.

- Nazywał się inaczej.

- Lawson? George Lawson?

- Chyba. Tak.

Detektywi nie chcieli już roztrząsać, czy "chyba" znaczy "tak".

- Gdzie jest zejście do piwnicy?

- Policja już tam była - zaprotestowała słabo.

- Ale my działamy na zlecenie Pameli Carrol. Poszkodowanej - dorzucił ostro Jupe.

Iza wstała z trudem. Na lewo od drzwi, prowadzących do łazienki w kolorze morelowym, był wąski korytarzyk, za nim magazynek na przybory kosmetyczne, stopy ręczników i różnej wielkości porcelanowych misek, a na samym końcu uchylone drzwi ze srebrną, niklowaną gałką pokrytą śladami czerwonego mazidła.

- Ciekawe, czy George zebrał odciski palców? - zastanowił się Bob.

- Nie - odpowiedziała szybko właścicielka. - Nie było wolnej ekipy. Mają dopiero przyjechać.

Pete zrobił krok do przodu.

- Są schodki. Też pomazane tym keczupem.

- Nie wchodzimy - zdecydował Jupiter. - Nie teraz. Jak ekipa techniczna zrobi, co do niej należy.

- Czy oni kiedykolwiek robili, co do nich należy? - wzruszył ramionami Pete.

Bob kucnął koło drzwi do łazienki.

- Coś znalazłem.

- Co? Pokaż?

Był to znaczek. Mały, metalowy gadżet, jakie rozdaje się na festynach lub koncertach rockowych.

- Znaczek fanów High Tower Record! - zdziwił się Pete. - Wyraźnie widać ich logo: trójkąt wpisany w koło i trzy litery: HTR.

Bob obracał w palcach plakietkę.

- Pamela ją zgubiła?

Pete podniósł oczy do nieba.

- Całkiem goła baba? Nonsens. Któryś... ale... - znów zatopił wzrok w przerażonych oczach Izy-papugi. - Ilu ich właściwie było? Tych napastników?

Kobieta oparła się o ścianę.

- Dokładnie nie wiem. Jeden zaszedł mnie od tyłu. W chwili gdy kładłam kompresy. Ale z odgłosów sądząc... chyba dwóch.

- Pamięta pani jego rękę? Może miał coś szczególnego? Na przykład tatuaż...

Iza odwróciła się do ściany. Jej rozcapierzone palce wpiły się w lakierowaną na morelowo powierzchnię.

- Ja... no tak! - nagle zwróciła twarz ku chłopcom. - Tak! Mignął mi pierścionek...

- Pierścionek? - westchnął Bob.

- Nie. Źle powiedziałam. Taki gruby sygnet na małym palcu. Ale widziałam go przez ułamek sekundy!

- Nie ma nic obrzydliwszego od faceta noszącego sygnet na małym palcu! - wymruczał Pete. - Albo podszywa się pod europejskiego lorda z dziada pradziada, albo pod rosyjskiego mafioso.

Jupiter głęboko zamyślony skubał wargę.

- Z piwnicy jest drugie wyjście?

- Nie - odparła Iza, ocierając pot z czoła. - Musieli tędy wyjść. Pamelę zostawili na dole. Gdybym to wiedziała...

Bob zatrzymał się w pół kroku.

- Chce pani powiedzieć, że nie sprawdziła, czy...

Kobieta wybuchnęła płaczem. Teraz dopiero nastąpiła właściwa stresowi reakcja organizmu.

- Ani przez chwilę nie sądziłam, że Pamela może być na dole! Gdy się ocknęłam, bolała mnie głowa, żołądek podchodził do gardła, a gabinet wyglądał jak po trzęsieniu ziemi. Umyłam twarz, przetałam podłogę na mokro i pobiegłam na policję.

- Nie lepiej było zatelefonować?

Po twarzy Izy płynęły łzy. Jej dłonie wykonywały wciąż tę samą gimnastykę: pięści się zaciskały i otwierały.

- Chciałam stąd uciec. Nawet nie zamknęłam drzwi. Wciąż nie wiem, gdzie są klucze...

Pete potrząsnął czarną, aksamitną torebką na łańcuszku. Brzęczała niczym stado szerszeni.

- Tu są, łaskawa pani. Idziemy, ale jeszcze wrócimy. Kiedy ekipa śledcza zakończy pracę.

- Już was tu nie chcę widzieć! Nikogo!

- To był napad, proszę pani - powiedział poważnie Jupiter -Jones. - Napad na panią i klientkę. Ona nas wynajęła. I dopóki nie rozwiążemy zagadki, będzie pani musiała z nami rozmawiać.

- Ale jakim prawem...

- Prawem Trzech Detektywów. I... poprosimy o rzeczy Pameli.

Papuzi dziób bez słowa zdjął z wieszaka żółtą sukienkę, parę sandałków i torebkę z lakierowanej skóry.

ROZDZIAŁ 2

CO DETEKTYWI ZNALEŻLI W SALONIE “U IZY”?

- Co o tym myślicie? - Jupiter aż się zasapał, dorównując kroku Crenshawowi.

Pete założył ciemne okulary. W samo południe, choć to październik, kalifornijskie indian summer dawało się we znaki.

- Na pewno polowali na kogoś innego. Dziewczyna na leżance, cała w pomidorach, z głową owiązaną ręcznikiem i z zamkniętymi oczyma...

- Muszą być choć trochę podobne. Ale zdecydował kolor włosów! - powiedział Bob, przyspieszając. Skracali drogę przez park, idąc na ukos, by jak najprędzej dotrzeć do Kwatery Głównej. - Pamela jest jasną blondynką. Ale jej włosy zobaczyli dopiero później. Chyba polowali na czarną lub rudą.

- Też tak sędzę - skwitował Jupe - i chyba chodzą do tej samej kosmetyczki! - Nagle zatrzymał się. - Do diabła! Trzeba było wziąć od Izy spis wszystkich klientek!

Pete parł naprzód. Widać spieszyło mu się do Pameli.

- Zdażymy. I tak musimy spenetrować piwnicę. Aspirant Lawson zawsze coś przeoczy. I ta ich ekipa dochodzeniowa! Dwóch laborantów praktykantów z wąsatą Sanchez na czele!

- Ty się nią zajmiesz, Pete - mruknął Bob, machając trzymanymi w dwóch palcach białymi sandałkami. - Sanchez jest twoja!

- Słusznie - uśmiechnął się Jupiter, powiewając damską torebką - my z Bobem obejrzymy piwnicę. Mam przecucie...

Crenshaw zmarszczył brwi. Wiedział, że podoba się kobietom, ale, u Boga ojca, nie wszystkie podobały się jemu. Iza z nosem papugi i Sanchez z czarnym wąsem nad górną wargą! Koszmar!

W Kwaterze Głównej zastali Sodomę i Gomorę. Pamela wyraźnie odzyskała siły.

I, co gorsze, postanowiła zrobić porządek. W tumanach kurzu, stosach puszek po coli i pojemnikach po chińskim jedzeniu prawie nie było jej widać.

- Co ty robisz? - wrzasnął Bob.

- Sprzątam. Macie może odkurzacz? Gęsi osunęły się nieco i zachwycony Crenshaw mógł się bezkarnie wgapić w odsłonięte fragmenty ciała dziewczyny.

- No... - wykrztusił.

Jupiter Jones nie dostrzegł ani drobiu, ani biustu Pameli. Wyrwał z jej rąk szczotkę i wskazał palcem drzwi:

- Tu masz swoje ubranie. Idź i się przebierz. I nigdy niczego nie ruszaj w męskich pomieszczeniach. Zapamiętasz?

Pamela zacisnęła usta.

- Nie, to nie. Mogę też nie mówić. Choć coś sobie przypomniałam.

Pete ujął ją pod łokieć. Wzrokiem zrugął Jupitera.

- Nie złość się. Chcemy ci pomóc. Przebierz się na dworze. Poczekam.

Bob parsknął śmiechem. Wcześniej sprawdził, czy dziewczyna nie ruszała komputera ani stosu wydruków.

- Założę się, że Crenshaw będzie ją podpatrywał przez dziurę!

Jupiter przesunął stopą stos plastikowych śmieci.

- No, może rzeczywiście należało to wyrzucić? Bob, znajdź adresy członków zespołu High Tower Record. Także nazwiska ich techników, oświetleniowców... sam wiesz.

- Chodzi ci wyłącznie o mężczyzn?

- Oczywiście. Będziemy szukać wśród nich faceta z sygnetem na małym palcu. Jest niczym znak firmowy.

Pete wrócił po godzinie. Zadowolony i wesół niczym skowronek.

- Odprowadziłem Pamelę aż do domu. Mieszka obok kina Atlantic. W apartamentowcu na dziewiętnastym piętrze.

- Do licha! - Bob aż gwizdnął. - Wiesz, jaki tam jest czynsz? Nadziana babka!

Jupiter Jones zastygł z kanapką w dłoni. Wyjął ją wprost z lodówki i czekał, aż się rozmrozi.

- Coś tu nie gra, panowie. Znam to miejsce. Zaraz obok apartamentowca jest znany ośrodek odnowy biologicznej. Z wszystkimi kosmetykami świata. A bogata Pamela daje się smarować pomidorowym sosem w naszej peryferyjnej dzielnicy?

Pete wzruszył ramionami. Humor go nie opuszczał.

- Może zna tę Izę. Przyjaźnią się? Po drodze powiedziała mi, że kiedy się ocknęła, w piwnicy jeszcze ktoś był.

- Kto? Sprawca porwania? - Jupiter przełożył kanapkę do drugiej ręki. Mroziła palce.

- Pamela twierdzi, że mężczyzna. Nachylał się nad nią, sprawdzając, czy żyje. Pamięta tylko zieloną chustkę i zapach.

Bob otworzył usta.

- Chustkę? Miał chustkę? Jak kowboj bandankę na szyi?

Pete przysiadł wśród śmieci. Nie przeszkadzały mu. Były niczym ulubiony, znajomy pejzaż.

- Łeb miał obwiązany chustką. Pamela pamięta, że zieloną.

Jupiter też się zdziwił.

- Facet ma łupież czy co? O jakim zapachu mówiła? Czosnek czy woda kwiatowa?

- Spod chustki wystawały długie kłaki. Pamela mówi, że kiedy się nad nią nachylił, poczuła, jak włosy ją łaskoczą w nos. A zapach dziwny...

- To znaczy jaki?

- Nie wiem. Ona także. Nie wahałem faceta. Opowiadam wam szczegóły. No, cześć. Muszę już iść na trening. Zadzwońię po południu.

Bob tylko westchnął. Z Pete'em zawsze tak było. Jak nie trening z koszykarzami, to fitness club. Boisko piłki albo tor wrotkowy.

- W porządku, Pete. Zrobiłeś, co się dało.

O piątej po południu Jupiter Jones załadowywał na ciężarówkę niepotrzebne rupiecie, które już tydzień temu powinny zostać wywiezione. To należało do jego obowiązków. Skład prowadziła ciotka Matylda z wujem Tytusem. Tak było od dzieciństwa. Trzydzieści lat temu, jako czteroletni bobas, został im powierzony na wychowanie. Po śmierci rodziców. Teraz z pasją wrzucał deski i oparcia po starych krzesłach. Robił miejsce na nowy transport rzeczy zakupionych na aukcji.

- Zjesz kanapkę z indykiem? - głos ciotki Matyldy brzmiał serdecznie.

Odwrócił się. Spomiędzy dwóch złożonych trójkątów chleba sterczał liść sałaty, spory plaster indyka i kapka majonezu. Ślina napłynęła mu do ust. Co tu dużo mówić: był strasznym łasuchem. Żuł z przyjemnością, przyglądając się ciotce przycupniętej na skrzynce zbitej z desek.

- Jak myślisz, ciociu, dlaczego młoda, piękna i bogata dziewczyna zamiast do eleganckiego gabinetu kosmetycznego chodzi smarować się czerwonym świństwem na drugi koniec miasta do maleńkiego, zapyziałego saloniku?

Ciotka wystawiła twarz do słońca.

- Mogą być dwie przyczyny. Jedna to, jak mówisz, czerwone świństwo. Nie mają go w renomowanym salonie.

- A druga?

Ciotka Matylda wstała.

- Przez lata jeździłam autobusem do fryzjerki. Aż na przedmieścia San Jose. Bo była moją szkolną koleżanką. I nie brała ode mnie pieniędzy.

- Koleżanka! - wrzasnął Jupiter Jones porzucając połamany stolik. - Że też mi to nie przyszło do głowy!

Trzy godziny później znów siedzieli w starej przyczepie. Upał zelżał, śmieci wyniesiono, dało się żyć. Tylko porzucona zasłona w żółtodziobe gęsi przypominała poranną wizytę Pameli.

- Sprawdzić, czy Iza jest koleżanką szkolną Pameli - dyktował Jupiter - a potem obwąchać piwnicę. Mamy telefon tego zakładu kosmetycznego?

- Mamy. Już dzwoniłem. Ekipa wyszła trzy godziny temu. Iza też.

- To znaczy? - upewniał się Pete. - Zakład jest zamknięty?

- Tak - Bob skinął głową. - Ale nie opieczętowany.

Jupiter uśmiechnął się krzywo.

- Przyjrzałeś się zamkom, Pete?

Crenshaw wzruszył ramionami.

- Naturalnie. Zwykły klucz. Ząbkowana trójka.

Bob otworzył i zamknął usta. Wygiął je w podkówkę.

- No nie! Chyba... chyba nie chcecie się włamać! To nielegalne.

Jupiter zamachał dłońmi.

- Włamać? W żadnym wypadku! Nigdy się nigdzie nie włamałem. Zawsze wszystko otwieram kluczem. Czyż nie? W tym wypadku ząbkowaną trójką.

- Beze mnie! - warknął Bob.

- Czy ktoś cię zaprasza? - zdziwił się Pete. - Ktoś go zapraszał, Jupe?

- Nie. Niczego takiego nie pamiętam.

Bob z ponurą miną tkwił przy komputerze, klikając myszą. Był niepoprawnym

legalistą. Nigdy się nie mieszał w bezprawne akcje uwielbiane przez Crenshawa. I tolerowane przez Jupitera.

- Żebyście kolki dostali, zanim otworzycie drzwi! - mrucał cichutko, przeszukując plik dotyczący zespołu High Tower Record.

- Kogo my tu mamy? Calista, no, oczywiście. Solistka. Gwiazda nad gwiazdy! Gdzie mieszka? O, do diabła! Sprzedała swój dom w Beverly Hills? Z basenem o półmilowej szerokości? Ciekawe... obecnego adresu brak. Joe Rocco - gitarzysta basowy. W śmiesznym czarnym kapeluszu. Włosy do ramion. Gra jak anioł! - Bob lubił mówić na głos. Szczególnie gdy był sam na sam z ukochanym sprzętem. - Brandon Folk - gitara. Miły blondynek. Trochę zbyt tłusty. I perkusista: Johnny Kendall. No, tego zna cała muzyczna Ameryka. Lubi przygrzać w kotły, aż para idzie przez salę!

Włączył drukarkę. Dane solistów zespołu wraz ze zdjęciami mogły się przydać. Tym bardziej, że i tak trzeba będzie z nimi pogadać. Wcześniej lub później. Znalazona w gabinecie plakietka należała do jednego z fanów zespołu. Fanów? Bagatela, kilka milionów obywateli USA!

Pete zręcznie manipulował przy zamku. W uliczce było cicho. Tylko gdzieś, za rogiem, szumiały po asfalcie ogumienia aut. Jupiter Jones gryzł duży palec. Bał się. Że ktoś ich przyłapie, że nagle pojawi się błyskający "dyskoteką" wóz policyjny. Jednocześnie czuł dreszcz podniecenia wprawiający w drżenie duszę gończego psa.

- Zrobione - syknął Pete.

Weszli tak cicho jak para duchów. Nie zapalali światła. Posuwali się naprzód, oświetlając drogę małymi latarkami trzymanymi w palcach. Znali już przejście do schodów wiodących do piwnicy. Na progu zatrzymali się, nasłuchując. Wszędzie panowała głucha cisza. Jupiter wymacał na bocznej ścianie kontakt.

- Zapalę. W piwnicy można. Tylko wejdź, Pete, żebym mógł natychmiast zamknąć drzwi. Ani promyczek nie może się przedrzeć.

- Wszedłem.

Błysk górnej lampy rozświetlił najbliższe dziesięć metrów.

- Niezbyt wysoko. Naliczyłem dwanaście schodów - mruknął Crenshaw. - Schodź ostrożnie.

Jupiter westchnął. Nie był tak sprawny fizycznie jak Pete. Nie raz zdarzało się, że skądś spadał. Raz nawet złamał rękę w nadgarstku.

Betonową podłogę na dole zagracały jakieś skrzynki czy raczej drewniane

palety po środkach czystości, rozsypany proszek do prania i kawałki plastikowych rur.

- Niczego nie znajdziemy - martwił się Crenshaw, obchodząc wnętrze dookoła.

Jupiter włączył latarkę. Badał ślady na betonie.

- Spójrz! - ucieszył się, zataczając krąg światłem. - Tu byli. Rozdeptali proszek.

- Skąd wiesz, że oni? To mogła zrobić grupa dochodzeniowo-techniczna.

- Sanchez? Nigdy. Jest skrupulatna jak waga fiskalna.

Pete milczał. Uważnie oglądał rozbitą paletę.

- Wleźli w to drewno.

- Pokaż! - Jupiter przykucnął. - Fakt. I rozdarli sobie portki! To znaczy... jeden z nich! - Tryumfalnie wyciągnął z drzazgi kilka nitki. - Blue jeans! Był w dżinsach.

- A Sanchez nie zauważyła? - Pete wybuchnął śmiechem.

- Też nie rozumiem - burknął Jupiter - może miała ze sobą nowicjuszy? Tylu ich się teraz szkoli.

- Jest coś jeszcze! - zawołał Crenshaw. - Zobacz! - Podniósł w górę resztki nawleczonych na nitkę drobnych koralików.

Jupiter Jones z niedowierzaniem kręcił głową.

- Ładna mi ekipa! Myślisz, że to zerwali z szyi Pameli? Kiedy ją tu wlekli?

Pete przyglądał się uważnie znalezisku. Znał takie ozdoby. Dziewczyny owijały nimi przeguby rąk lub nóg. Moda przyszła z Meksyku. Cienkie, mocne nitki i drobne, okrągłe koraliki lub farbowane nasiona tropikalnych owoców.

- Pamela była w pomidorach. Poza tym to nie w jej stylu - powiedział z przekonaniem.

- Izy? - Jupiter wzruszył ramionami.

- Nie. - Pete marszczył czoło. - To noszą fanki zespołów rockowych. Bardzo młode dziewczyny. Czternastki, piętnastki...

Jupiter skinął głową. To miało sens, choć nie wyjaśniało, jak ozdoby trafiły do piwnicy.

- Nic więcej nie ma?

- Kilka koralików zabrałem z podłogi. - Pete chował zdobycz do małego plastikowego woreczka. Zawsze mieli je ze sobą, niczym fachowa ekipa techniczna. - Wycofujemy się.

W tym momencie dał się słyszeć sygnał policyjny.

- Gliny! - westchnął Jupe.

Pete w kilka sekund pokonał dwanaście schodków. Zdążył zgasić światło i

wrócić na dół, gdy w korytarzu zakładu zadudniły kroki.

- Włamanie? - odezwał się dudniący bas.

- Nie. Ale drzwi były otwarte - obydwaj mówili z wyraźnym chicagowskim akcentem.

Chłopcy wtarli się w mur. Zasłonięci stosem palet, w ciemnościach byli niezauważalni.

Policjanci sprawdzali pomieszczenie za pomieszczeniem. Głośno wymieniali uwagi. Drzwi do piwniczki huknęły o ścianę.

- Uważaj! - powiedział bas. - Wywalisz je z futryną.

Światło zalało wnętrze.

- Nikogo nie ma - powiedział drugi. Baryton. - Falszywy alarm. Lokatorka z przeciwka twierdziła, że widziała dwóch czarnych włamujących się do salonu.

- Widać wyparowali! - odparł bas. - Zejdę na dół. - Chłopcy wstrzymali oddechy, przykleili się do betonowej ściany. - Nikogo nie ma. Tu już była ekipa śledcza?

- Tak - odparł ten z góry. - Napad na właścicielkę i klientkę. Uśpili obie eterem. Niczego nie ukradli. Chyba nie nasza sprawa. Wracamy.

Światło zgasło. Jupiter Jones czuł, jak mu spod włosów spływają krople, rysując bruzdy wzdłuż nosa i skapując na koszulkę. Pete, wyprężony niczym struna, oddychał, świszcząc przez nos. Nie ruszali się, czekając, aż na górze ucichną kroki.

- O mało nie wpadliśmy! - wyszeptał Jupiter, próbując opanować drżenie: nóg, rąk, szyi i warg.

- Musielibyśmy się tłumaczyć na posterunku - Pete ruszył przed siebie, świecąc latarką.

- Ty - Jupiter wciąż stał nieruchomo - znasz te głosy?

- Nie. Nikt od Mata Wilsona. Facet miał akcent barmana z "Glory Alleluja" w Chicago. Pamiętasz tę scenę z filmu "Gangster i Lola"? Al Pacino mówił takim samym akcentem. A drugi miał głos niczym z dna beczki.

- Nie gadaj tyle! - warknął Jupe. Poruszył nogą. Potem drugą. Poszły. Ręce też działały. Tylko głowa kiwała mu się niczym figurka Buddy z chińskiej witryny sklepowej. - Możemy wyjść?

Pete był już u szczytu schodów.

- Droga wolna. Ciemno i głucho. Chyba że się zaczaili w wozie za rogiem.

Jupiter był szczęśliwy, że przyjaciel nie odwrócił się. Dla pewności bowiem

wspinał się na czworakach.

U wejścia do korytarzyka przywarowali. Za szklanymi drzwiami, od czasu do czasu, przesuwały się światła samochodów. Ktoś przechodził ulicą. Potem jakaś roześmiana para.

- Dobra, idziemy - Pete dał hasło do odwrotu - nie możemy tu nocować. Tyle że nie zamkniemy drzwi. Ci gliniarze już pewnie zawiadomili posterunek. Jupe, co z tobą? Zmywamy się!

Jupiter o mały włos nie wybił szyby własnym ciałem. Nagle jego wszystkie członki odzyskały sprawność. Skoczył na chodnik, potem w bok, przebiegł ze sto metrów i zatrzymał się zadyszany.

- Jesteś, Pete?

- Jestem. Zwolnij. Teraz zachowujmy się jak normalni przechodnie.

Ale, tak naprawdę, normalnymi spacerowiczami poczuli się dopiero trzy przecznice dalej.

- Miałem przez moment pietra - przyznał Crenshaw.

- Ja też. Spocilem się niczym mysz pod miotłą. Znów, gdzieś niedaleko, rozległ się dźwięk policyjnej syreny. Zza drzew, ocieniających park i skwer z pomnikiem Lincolna, wyłonił się migający czerwono i niebiesko wóz patrolowy.

- Chicagowcy szukają włamywaczy?

- Nie. To były numery George'a Lawsona. Znam je na pamięć. Od dziewięciu lat te same. Aspirant kocha trójki.

- Każdy idzie teraz do własnego domu - powiedział Jupiter Jones, z przyjemnością wdychając chłodne, nocne powietrze. - Jutro rano w Kwaterze Głównej. Cześć, włamywaczu.

- Cześć.

ROZDZIAŁ 3

SKĄD SIĘ WZIEŁA NOWA EKIPA POLICJI?

Bob od godziny kiwał się na krześle o trzech nogach. Do bólu oczu przyglądał się fotkom muzyków z High Tower Record. Gdy nadszedł zaspany Jupiter, ożywił się.

- I co? Znaleźliście coś?

- Niewiele - mruknął Jupiter ziewając. - Jakaś nowa ekipa policyjna jeździ po Rocky Beach. O mały włos nas nie przyskrzynili. Wiesz coś o tym?

Bob przecząco pokręcił głową.

- Nic. Ale mogę wziąć na spytki Lawsona. Zawsze mnie lubił.

Jupiter sięgnął po stosik papierów.

- Do licha! Zmienili się przez te lata.

- No - potwierdził Bob. - Kiedy pracowałem u Saxa Sendlera, przewijało się sporo muzyków. Tacy dziecinni, nieopierzeni. Joe Rocco miał szesnaście lat, długie, tłuste włosy owinięte zieloną chustką. Śmiesznie naciągał ją prawie na czoło. Wyglądał jak dziewczyna z pralni za rogiem.

Jupiter Jones pochylił głowę nad zdjęciem. Potem nagle uderzył się dłonią w czoło.

- Chustka? Mówisz, chustka? Zielona?

- No tak - Bob był jednym wielkim znakiem zapytania.

- Co Pamela powiedziała Crenshawowi? Pamiętasz? - chwycił Boba za ramię.

Bob niepewnie błyskał szklami okularów.

- Pamela? Kiedy?

Na szczęście wszedł Pete.

- Proszę cię - Jupiter błagalnie złożył obie dłonie - proszę cię, powtórz jeszcze raz to wszystko, co przypomniała sobie Pamela Carrol. Ale słowo w słowo.

Crenshaw potrząsnął włosami.

- Już mówiłem. Jupe, co się dzieje? Jesteś chory?

Jupiter wciąż składał dłonie, niczym członek delegacji hinduskiej w Waszyngtonie.

- Pete, zrób raz, o co cię proszę. Wytłumaczę.

Crenshaw znał przyjaciela. I wiedział, że nie zachowywałby się tak dziwnie, gdyby nie ważne przyczyny.

- No więc... pamięta, że nachylał się nad nią mężczyzna o długich włosach, w

zielonej chustce na głowie. I dziwny zapach...

Bob poruszał ustami. Już zrozumiał.

- Sądziś, że to był Joe Rocco? Tylko dlatego, że w młodości obwiązywał łeb zieloną szmatą? O ile pamiętam, niczym wtedy nie śmierdział.

- Ona nie mówiła, że śmierdział - wtrącił Pete. - Tylko, że wyczuła "dziwny" zapach. O co wam chodzi?

Przez kilka minut wyjaśniali szczegóły garderoby młodocianego gitarzysty basowego.

- Powiedziałbym, że to bez sensu - mruknął w końcu Bob. - Ja go znałem, panowie. Nigdy się nie rzucał na dziewczyny. Po co Joe Rocco, zarabiający wielki szmal muzyką, miałby ciągnąć Pamelę do piwnicy? Seks? Była w sosie pomidorowym! Uśpiona.

Jupiter Jones machał dłonią.

- Fakt. To bez sensu. Ale zapamiętamy te długie włosy i chustkę. Bob, przeleć się na posterunek. Pogadaj z Lawsonem. Obiecuj mu coś.

- Co?

- No... na przykład, że wykryjemy, kto podwędza pani Turner sadzonki z ogródka. Cokolwiek. Byle ci powiedział o nowych łapsach w radiowozie.

Bob skinął głową. Opuszczając Kwaterę Główną, czuł lekki zamęt w głowie.

- Mnie też przydzielisz zadanie? - spytał Pete, ziewając. - Chciałbym potrenować drużynę Rocky Beach Północ. Grają mecz z Południem, a mnie potrzeba trochę kasy.

Jupiter nie miał dokładnego planu. Postanowił go dopiero przemyśleć. Sam na sam z własnym rozumem, jak zwykł był mawiać.

- Dobra. Leć na trening. Ale po obiedzie wszyscy tutaj, bo... Rozległ się dźwięk telefonu. Pete już był jedną nogą na zewnątrz, ale się zatrzymał. Jupiter chwilę słuchał, coś notował, a potem spytał:

- Jesteś tego pewna? - odkładając słuchawkę, rzucił: - Twoja Kelly.

Pete aż przysiadł ze zdziwienia.

- Kelly Madigan? Nie jest moja. Historia sprzed roku. Prehistoria.

Jupiter Jones mógł tylko przyjacielowi pozazdrościć.

- Zmieniasz dziewczyny z szybkością naddźwiękowca. Twoja sprawa. Ale Kelly chodziło o Pamelę.

Pete rozłożył dłonie.

- Są przyjaciółkami? Tak?

- Tak. Kelly dzwoniła, bo Pamela jest uwięziona...

- W kozie? Siedzi w kryminale? Za co?

Jupiter tupnął nogą, aż uniósł się z podłogi kurz. Też prehistoryczny.

- Daj mi skończyć! Nie siedzi w ciupie, tylko we własnym apartamencie. Ma areszt domowy aż do chwili, gdy policja wyjaśni sprawę napadu. I nocnego włamania do zakładu kosmetycznego Izy Grubber.

- Grubber? Tak się nazywa papuga? - spojrział przelotnie na tę sztuczną, o czerwono-zielonych piórach, tkwiącą pod sufitem w metalowej klatce. - Nie wiedziałem.

- Teraz wiesz. I ja także. Śledztwo prowadzi nasz ukochany sierżant Mat Wilson. Właśnie przesłuchiwał Pamelę. Wyznała, że była u nas.

Crenshaw zatoczył się pod ścianę.

- To koniec. Wilson się nie odczepi. A ty, na dodatek, wysłałeś Boba na posterunek!

Jupiter ssał wargę. Jego umysł pracował z precyzją szwajcarskiego zegarka.

- Bob sobie poradzi - mruknął. - To sprytny chłopak, choć intelektualista. Ważne, żebyśmy zeznawali jednakowo.

Pete roześmiał się hałaśliwie.

- Rozumiem. Ma być mniej więcej tak: Pamela, umazana pomidorową sałatką, przybiegła do nas parkiem, kryjąc się przed ludźmi, bo wyglądała niczym unurzana we krwi ofiara Kuby Rozpruwacza. Potem, kiedy już zmyła makijaż, posługując się ogrodowym wężem, opowiedziała nam, co się stało. Wysłuchaliśmy z zainteresowaniem, gdyż jesteśmy doskonałymi detektywami. O nocnym włamaniu do salonu papugi... to jest panny Grubber nic nie wiemy.

Jupiter klaskał w obie dłonie, bardzo zadowolony.

- Tak jest, Pete. Zaznacz jeszcze, że odprowadziłeś Pamelę aż do apartamentowca na King Road obok multipleksu Atlantic.

- Dlaczego to takie ważne?

- Bo zaraz tam pojedziemy, detektywie. Nici z treningu. Taki już nasz los.

- Ruszysz starego forda?

- Ruszę, Pete. Choćbym miał pluć do baku!

Na King Road, obok ośrodka odnowy biologicznej i kina Atlantic, w którym

wyświetlano nowy film Alfreda Hitchcocka "W czerwonej matni", wznosił się dwudziestodwukondygnacyjny apartamentowiec z szeregiem drogich penthouse'ów na ostatnim piętrze.

- Stoi dokładnie na uskoku San Andreas! - wyszczerzył zęby Crenshaw, otwierając drzwiczki samochodu. - Przy trzęsieniu ziemi 5,5 w skali Richtera złoży się niczym domek z kart!

- Sejsmologowie nie zapowiadali trzęsienia na dzisiejsze przedpołudnie - wymruczał Juve, chowając kluczyki. - Spróbujemy wejść.

- Taranując osiłka w zielonej liberii ze złotymi galonami? On nas nie wpuści.

Jupiter Jones obciągnął czarną koszulkę z podobizną czołowego napastnika Dodgersów.

- To się jeszcze okaże!

Niestety, wcześniej spostrzegli wychodzącego z budynku George'a Lawsons, a za nim, uczeplonego niczym rzep psiego ogona, Boba Andrews.

- Widzisz to samo, co ja? - roześmiał się Pete oparty o maskę ford.

Jupiter z westchnieniem ruszył na spotkanie.

- Ranny ptaszek z pana aspiranta! - rzucił z kwaśnym uśmiechem. - Co słysząc?

George Lawson naciągnął głębiej czapkę na czoło.

- Śpię... wynoście się stąd! Już was nie ma, detektywi od siedmiu boleści...

Ale Jupiter nie dał się sprowokować.

- Niech pan nie naśladuje szefa, Lawson. Dobrze pan wie, że lepiej mieć nas po swojej stronie!

- Dokładnie to samo mu powiedziałem! - ucieszył się Bob. - Wszyscy w komendzie wiedzą, że nie dam się łatwo spławić.

Aspirant westchnął. Spojrzał spod oka na nieco ociążałą sylwetkę szefa detektywów i skapitulował.

- Dobra. Co chcecie wiedzieć?

- Dlaczego Pamela Carrol ma areszt domowy?

Bob gwałtownie zamachał rękami.

- To już wiem, Juve. Zapytaj aspiranta o to, czego nie chciał mi powiedzieć...

- A czego nie chciał? - Pete leniwie prężył mięśnie. Oczywiście w dwie minuty pokonałby aspiranta Lawsons. Ale jaki to miałyby sens?

- Pytałem, dlaczego policja kazała Pameli włożyć czarną perukę? I dlaczego godzinę wcześniej ewakuowano z penthouse'u na dwudziestym drugim piętrze

zakwefioną Arabkę?

Jupiter Jones nie potrafił wykszusić ani słowa. Nawet Pete stracił rezon.

George Lawson opędzał się od Boba jak od roju atakujących morderczych os.

- Nie wolno. Niczego nie powiem. Mat Wilson udusiłby mnie własnymi łapskami. O nic nie pytajcie. I w ogóle - aspirant ściszył głos - lepiej się od tej sprawy odczepcie. To nie łapanie dzikiego królika w ogródku babci Thorez, tylko walka z szefami gangów. Dwoma! - dorzucił, zatraskując drzwi policyjnego auta.

Jupiter Jones odzyskał mowę. Wcześniej zakonotował w mózgu każde wypowiedziane słowo. Bo choć George Lawson nie chciał - to powiedział.

- George! Panie Lawson! - dopadł drzwiczek, wołając poprzez szum silnika: - Co to są za obce gliny jeżdżące po ulicach?

Lawson przygryzł wargi.

- Cholerna konkurencja! - wykrztusił. - Ale my się nie damy!

- Rozumiesz coś z tego? - dopytywał się Pete.

Bob skinął głową.

- Wiem tyle: Pamela była pomyłką. Napadli nie na tę dziewczynę, na którą chcieli. Szukali brunetki. Też chodzi na zabiegi do Izy Grubber. Bo wszystkie trzy są szkolnymi koleżankami.

- Kim jest trzecia. Bob?

- Tego jeszcze nie wiem. Ale podejrzewam, że tu mieszkała. W najdroższym penthouse'ie na dwudziestym drugim piętrze.

- Arabka? - zdziwił się Jupiter.

- Guzik prawda! - Bob aż się zaczerwienił. - Przebrali ją w białe giezło od stóp do głów, żeby nikt jej nie poznał. Teraz wciskają kit, że jest babką - Arabka. Policjanci wywieźli dziewczynę w nieznaną miejscę.

Pete słuchał uważnie, wreszcie nie wytrzymał.

Pamela powie mi, kim jest ta trzecia. Skoro są szkolnymi przyjaciółkami...

Jupiter Jones pokręcił głową.

- Nikt cię do niej nie wpuści. Pewnie postawili gliniarza pod jej drzwiami.

- A portier? Nie powie za dwadzieścia dolarów?

Bob uśmiechnął się szeroko.

- Może mi powiesz, skąd weźmiesz szmal, skoro nie stać cię na litr benzyny do grata i musisz pluć do baku?

Jupiter nie tracił nadziei.

- Nie wierzę, żeby w tej ogromnej chacie nie znalazł się mieszkaniec, który COŚ wie. No, wprost nie wierzę!

Rozumowanie sensowne. Dwudziestodwukondygnacyjny apartamentowiec, jak faszerowany ryżem bakłażan, musiał zawierać choć jedno ziarenko skłonne do zwierzeń!

- Jest jeszcze Debra - powiedział ponuro Crenshaw. - Debra z dziewiątego kanału CNN. Można by...

Jupiter zacisnął pięści.

- Chcesz wszystko zdradzić tej... tej piranii? Nie odczepi się od nas ani od Pameli. Cała zasługa za złapanie gangsterów spadnie na stację telewizyjną. A my? MY?

Bob, choć podzielał wątpliwości Jupitera, nie mógł nie przyznać racji Crenshawowi.

- Jupe, na tym etapie śledztwa nie ruszymy sami. Nic nie wiemy o gangsterach. A Debra tak czy tak się włączy. Znam ją. Jest bezwzględna kobrą dziennikarstwa.

Tuż obok starego forda hamował potężny lincoln z lat pięćdziesiątych we wściekle różowym kolorze.

- O wilku mowa! - jęknął Jupiter Jones załamany.

Dziewczyna, która wysiadła z cukierkowego wozu, ubrana była w dżinsowe rybaczkę, zieloną bluzkę związaną tuż pod biustem i szerokoskrzydły płócienny kapelusz z pękiem kalifornijskich maków na wywiniętym rondzie. Za nią gramolił się żujący gumę kamerzysta z łysą czaszką i lekką, nowoczesną aparaturą.

- Cześć, Pete! - uśmiech rozjaśnił wąską twarz i niewiarygodnie zielone oczy. - Skoro tu jesteś, to znaczy, że miałam nosa!

- Cześć, Debra. Kopę lat.

Dziewczyna bezceremonialnie cmoknęła go w policzek.

Nie taka znów kopa. Ostatnio szaleliśmy razem na dyskotecę w Malibu. Raptem dziesięć dni temu.

Bob i Jupe spojrzeli po sobie. Dziesięć dni temu Pete chorował na żołądek. I nie wychodził z domu. Przynajmniej tak usprawiedliwiał swoją permanentną nieobecność w Kwaterze Głównej. Pete skrzywił usta.

- Przyjechałaś w sprawie Pameli Carrol? - spytał.

- Nie. W sprawie Calisty. Solistki High Tower Record. A kim jest Pamela?

Teraz cała trójka detektywów wyglądała niczym słupy soli.

- Calista? - wykrztusił Bob. - Ona tu mieszka? Mieszka - uśmiechnęła się Debra.

- Dawno wyprowadziła się z Beverly Hills. Właśnie przyjechałam zrobić z nią wywiad.

Jupiter Jones pochylił się do przodu. Wyglądał niczym szarżujący byk.

- W penthousie na dwudziestym drugim?

- Tak. Skąd wiesz? To miała być tajemnica przed jej fanami.

Pete roześmiał się szeroko. A Bob z uciechy walił pięściami w karoserię fordą.

- Arabka! Oto wyjaśnienie. Wymietli Arabkę z apartamentu i Calisty! Debra, twoja stacja telewizyjna może skreślić temat. Solistki zespołu High Tower Record już nie ma!

Zielone oczy dziewczyny zmieniły się w bryłki lodu.

- Co wy wygadujecie? Dlaczego jej nie ma? Wczoraj uzgodniłam termin. O jakiej Arabce...

Pete usiłował zapanować nad żywiołową radością. Ujął dziewczynę pod łokieć, szepcząc na ucho:

Policja ją wywiozła. Wiem od George'a Lawsona z posterunku w Rocky Beach. Była owinięta czymś białym. Pewnie dla niepoznaki. Sprawdź. Portier stoi u wejścia.

Debra zacisnęła wargi. Nie znosiła, gdy jej się coś nie udawało. Ale portier potwierdził informację, że miss Calista chwilowo jest nieobecna. Kamerzysta mógł jedynie sfilmować fronton domu, srebrne pagony na zielonym mundurze portiera i sygnet na jego małym palcu. Wróciła do trójki detektywów, wachlując się kapeluszem. Jej czerwone włosy powiewały na wietrze niczym sztandar rewolucjonistki.

- Kim jest Pamela Carrol? - zasyczała przez zaciśnięte zęby. - I co wiecie o całej tej sprawie?

- To długa historia - rozmarzył się Crenshaw. - Mógłbym ci co nieco opowiedzieć. Przy kawie. Ale... za cenę współpracy.

- Niech cię diabli, Crenshaw! - wymruczała. - Dobra. Możemy współpracować. Co nie znaczy, że nie będę rywalizowała o pierwszeństwo.

- Zgoda. - Pete bez pytania skoczył na tylne siedzenie lincolna. Kamerzysta wciąż żuł gumę. Widać albo był niemową, albo nie lubił kłapać paszczą po próżnicy. Debra włączyła wsteczny bieg z taką furią, że nieomal zmiotła żelazny kosz na śmieci.

Jupiter z Bobem zostali pod rachitycznym drzewem.

- Skąd on ją zna? - wyjęczał Andrews.

- Głupie pytanie! - wściekł się Jupiter. - Pete zna wszystkie baby od Los Angeles po San Diego. Co teraz?

Bob sadowił się na przednim siedzeniu. Kartkował gruby notes.

- Pojedziemy do Saxa Sendlera. Wciąż mnie niepokoi zielona chustka gitarzysty Joego Rocco. I w ogóle. Trzeba załatwić wejściówki na koncert.

Ruszając, o mało nie przygrzali w wyłaniający się z podporządkowanej radiowóz.

- Uważaj, Jupe!

- Niech oni uważają! Ja mam pierwszeństwo. Faceci najwyraźniej nie znają miasta. I nigdy nie pracowali w drogówce.

- Hej, wy! Jak jedziecie! - głos policjanta miał charakterystyczny chicagowski akcent. Wychylony z okna grubas groził palcem.

- To ci, co nas wczoraj o mały włos nie przyłapali! - ucieszył się Jupe, hamując. - Bob, przyjrzyj się im! Obu!

Andrews rozciągnął usta od ucha do ucha.

- Przepraszamy władzę. To całkiem niechcący. Będziemy bardzo uważać.

Radiowóz, nie zatrzymując się, zniknął za skwerkiem.

ROZDZIAŁ 3

CO SIĘ ZDARZYŁO W “SALOONIE U BILLA”?

W agencji Saxa Sendlera wrzało jak w ulu. Obie sekretarki mówiły coś, bez przerwy uczezione słuchawek.

- Witaj, skarbie - wyszeptał Bob nachylając się nad jedną z nich. - Pamiętasz mnie?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Andrews! Może byś do nas wrócił? Po twoim odejściu zapanował taki chaos, że... chcesz wejściówki, tak?

Bob był jedną wielką radością.

- Zawsze wiesz, jak uszczęśliwić człowieka, Tilli. Marzę o trzech biletach na pierwszy koncert. Calista będzie śpiewać?

- Oczywiście. Ma, biedaczka, jakieś kłopoty, ale bez niej nie byłoby koncertu. Zresztą, potwierdziła dzisiaj swój udział. Płacisz gotówką... czy wcale?

Jupiter z lekką zazdrością przysłuchiwał się rozmowie. Nawet okularnik Bob radził sobie z dziewczynami. A on? Bob odebrał wejściówki z miną zwycięzcy.

- Dzięki, Tilli. Mogę zajrzeć do chłopaków?

- W lewo i prosto. Przecież znasz drogę.

Gmatwanina korytarzy spowodowana była wcześniejszą przebudową. Halę widowiskową Sendlera przerobiono kilka lat temu z magazynów po firmie składującej tu kawę, herbatę i przyprawy importowane z Ameryki Południowej. Ściany przestronnej widowni, obliczonej na trzy tysiące fanów rocka, do dziś pachniały korzennie. Amfiteatr, wypełniony żółtymi krzeselkami z plastiku, opadał łagodnie ku scenie znanej z doskonałej akustyki. Za podniesioną kurtyną, na drewnianych deskach ustawiono instrumenty. W tyle królowały “gary” perkusisty. Na lewo nowoczesny keyboard pianisty. High Tower Record grał ostrego rocka z akcentami metalu, toteż komplet widzów mieli jak w banku.

Jupiter Jones, niestety, nie należał do zwolenników tej muzyki. Po prostu lubił stary, pocziwy nowoorleański jazz. Aż wstyd się przyznać.

W garderobie dwaj muzycy rozmawiali z jakimś łachmaniarzem. Wyglądał na takiego, który noce spędza w zaułku, wciśnięty w kartonowe pudło. Bob chciał wejść, ale Jupe położył mu rękę na ustach.

- Cicho, kim oni są?

Bob zamrugał, wciskając się w przepierzenie z dykty obwieszanej plakatami zespołu.

- Ten pierwszy, z włosami do połowy pleców, to Joe Rocco. Gitarzysta basowy. Drugi - Johnny Kendall - perkusista - wyszeptał wprost do ucha przyjaciela. - Trzeciego nie znam.

Muzycy, pochyleni nad otwartą torbą, grzebali w niej, czegoś szukając.

- To jest to, śmieciu?

Łachmaniarz zbierał porzucone pakunki trzęsącymi się dłońmi.

- Tak. Trzeba zmieszać. Dwa do jednego.

Jupiter Jones nie miał złudzeń.

- Kupują prochy, Bob.

- Widzę. Zmywamy się.

Wycofali się na bezpieczną odległość. Łachmaniarz wyszedł skurczony niczym człowiek śmiertelnie chory.

- Dealer. Ale także ćpun - westchnął Bob. - I co teraz?

- Śledzimy go - Jupiter poczuł dziwny zapach. Wciągnął go w nozdrza, ale nie potrafił zidentyfikować.

Łachmaniarz znał teren. Widać bywał tu często. Poprzez załomy korytarzy, schodów i wyjść awaryjnych przedostał się na podwórze. Obaj detektywi bezszelestnie posuwali się w ślad za nim. Z podwórza, przez uchyloną bramę, dealer wydostał się na plac. W głębi był bar. Na szyldzie, jak w kowbojskim filmie, wymalowano nazwę: "Saloon u Billa". Ćpun, oglądając się na boki, wparował do środka.

- Pewnie ma tu swoją kwaterę - wykrztusił Bob. - Co robimy, Jupe? Trochę mnie to wkurza. Nie cierpię narkotyków...

Jupiter Jones czuł się niczym pies gończy węszący trop. Też nie lubił narkotyków. Nie miał z nimi nigdy do czynienia. Ale dużo wiedział na ich temat. I niejednokrotnie widział spustoszenie, jakie czyniły.

- Bob, czuję, że to wszystko jakoś się łączy. Musimy wejść do baru.

- I co? Poprosisz o heroinę z kokainą? Dwa do jednego?

- Martini. Wstrząśnięte. Nie mieszane. Jak James Bond. Bob, wszędzie jest coca-cola!

W środku było tłoczno. Dym papierosowy łączył się ze słodkawymi wyziewami marihuany. Młodzież w różnym wieku okupowała ladę i kilka brudnych stolików. Gwar mieszał się z dźwiękami grającej szafy.

- Bosko! - westchnął Bob. - Ja nie chcę...

Dziewczyna, która ich zaczepiła, miała piękne, czarne oczy, długie, dawno nie myte włosy i szczupłe, wynędzniałe ciało.

- Pożycz na działkę!

Jupiter Jones odsunął wątle ramię. Chciał coś powiedzieć, gdy nagle zakłębiło się w drzwiach.

- Stać, policja!

Popłoch sięgnął szczytu. Młodzież nie miała odwrotu. Tylne wyjście też było zablokowane.

- Bob, tędy! - wrzasnął Jupiter, wskazując niszę za stolikiem. Andrews posłuchał. Z trudem zmieścili się we trójkę. Łachmaniarz już tam był. Trząśnięcie ze strachu.

- Coś ty za jeden?

- Taps. Sprzedaję i kupuję. A wy?

- My też sprzedajemy.

Policja w sile zaledwie dwóch bardzo sprawnych facetów robiła niezły bałagan. Wrzeszczeli tak, jakby wszyscy wokół nagle ogłuchli.

- Zawsze tak wpadają?

Taps brudną ręką upychał torbę w szparze.

- Są nowi. Z Chicago. Jeden to straszne ścierwo. Potrafi zabić.

Bob ze strachu ledwie oddychał. Z przerażeniem patrzył na błyskające w mdłym świetle kajdanki.

- Zakuli dziewczynę. Tylko ją. Dlaczego?

Taps wciągnął nosem powietrze.

- Loretta. Wszędzie jeździ z zespołem. Kocha się w perkusiście. Ćpa od czterech lat. Uciekła z domu.

- To chłopaki z High Tower Record też... biorą? - Jupiter wcisnął głowę w ramiona.

Łachmaniarz byłby wybuchnął śmiechem, gdyby tak się nie kił.

- Co ty, głupi? Dają czadu, żeby grać. Najgorzej to perkusista.

- Johnny Kendall?

- Jasne. A wy co? Czemu tak wypytujecie? Polecicie donieść do gliniarzy?

Jupiter nie odpowiedział. Dał nura pod stół. Służbowa policyjna pałka świszczła tuż, tuż.

- Odwołuję! - rozległ się bas. - Zabierać ćpunów do wozu! Dziewczyna ze mną!

Bob poznał chicagowski akcent. Przerażony patrzył, jak wyprowadzają długowłosą, która nawet nie próbowała się opierać. Reszta klientów baru rozprysła się po zapleczu.

- To aż dziwne - wymruczał Taps, wyciągając torbę. - Nigdy nie przerywają, zanim nie zgarną wszystkich. Chcecie działkę? Mam taki nowy specyfik, że wam oczy staną w słup.

Jupiter ocierał pot z czoła. Bob otwierał i zamykał oczy, jakby to, co widział, nie zdarzyło się naprawdę. Słyszeli syreny wozów i wrzaski tych, którzy zostali.

- Wracamy, Bob. Było ciężko.

W Kwaterze Głównej zastali Crenshawa.

- Gdzie was nosiło? Mam parę rewelacji. Wyglądacie, jakbyście spędzili noc w celi posterunku Mata Wilsona. Co się stało?

- Urocze spotkanie z chicagowskimi łapsami w narkotykowym barze "Saloon u Billa". Na zapleczu Saxa Sendlera. Szczegóły później. Teraz musimy napić się coca-coli. I zjeść kanapkę z tuńczykiem.

Tymczasem Pete zdawał relację.

- Jest tak: w Rocky Beach od tygodnia walczą między sobą dwa gangi narkotykowe. Ich bossów nikt nie zna. Wiadomo tylko, że przemycają heroinę z Kolumbii. Statkiem i samolotami.

- Stąd dzisiejsza obława w barze - Bob podejrzliwie wpatrywał się w chińską sałatkę.

- O tym Debra nie wiedziała. Ale wiem, dlaczego Calistę ewakuowano z jej apartamentu. Policja z Chicago znalazła jej nazwisko na liście głównego dealera. Dlatego tu się zjawili. A w donicy z dracaną odkryli sześć ampulek jakiegoś nowego specyfiku.

- Nowego? - zakrztusił się Jupe.

- Tak. Zupełnie nieznane dotąd świństwo. Podobno niezwykle toksyczne. Badają je w policyjnym laboratorium.

- I nie aresztowano Calisty?

- Nie. Podobno nic o tym nie wiedziała. Jej apartament był miejscem spotkań elity muzycznej. Same sławy. Policja nie może udowodnić, że miss Carrol jest właścicielką tych fiolek.

- Miss Carrol? Co ma do tego Pamela? - zdziwienie Boba było przeogromne.

Jego zazwyczaj sprawny mózg po wizycie w "Saloonie u Billa" pracował wyraźnie na zwolnionych obrotach.

Pete napiął mięśnie ramion. Lubił wyglądać na starożytnego gladiatora.

- To jest ta rewelacja! Pamela i Calista są... siostrami! Panny Carrol! Dlatego Pamelę było stać na mieszkanie w apartamentowcu. Nie miała penthouse'u, jak Calista, ale i tak solistka zespołu pokrywała koszty pięćdziesięciu metrów ścian.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego zbiry napadły Pamelę w salonie kosmetycznym Izy-papugi! Pomylili ją z siostrą, tak?

- Tak właśnie było. Debra nie wie o naszej tam bytności. I lepiej niech tak zostanie. Tylko kto jeszcze był w tej piwnicy?

- Od tego właśnie jesteśmy my! - Jupiter skubał wargę. - Trzej Detektywi!

Koncert w rześście oświetlonej sali Saxa rozpoczął się o ósmej wieczorem. Ciotka Matylda wybrzydzała:

- Przecież wiem, że nie przepadasz za muzyką, którą tam grają. Dla mnie to zwykły łomot.

- No... tak. Ale Pete i Bob śmiertelnie by się na mnie obrazili, gdybym nie poszedł. Nie mogę narażać przyjaciół na dodatkowy stres.

Ciotka wciąż była niepokojona. Ciskała garnkami, aż echo szło po przestronnej kuchni.

- Już wolę, jak siedzicie w Kwaterze Głównej. Pod moim bokiem. Uważaj, Jupe. W czasie koncertu uaktywniają się sprzedawcy narkotyków. Czytałam o tym w "Los Angeles Sun".

- Wiem, ciciu Ale my nie mamy z tym nic wspólnego. Wolimy twoją leguminę kokosową!

Ciotka westchnęła. I na tym się skończyło. Jupiter zajeżdżał fordem po Creshawa, a na końcu po Boba Andrewsa.

- Widzicie, co się dzieje?

Przed wejściem kłębił się tłum nastolotów. Wszyscy z przypiętymi odznakami zespołu. Dziewczyny piszczały, gdy nadjechał czarny dodge z zasłoniętymi oknami. Ale to byli technicy. Wrzask sięgnął zenitu, gdy pojawili się soliści.

- Bob! - krzyknął Pete. - Widzisz, co ma na głowie Joe Rocco?

- Widzę. Ciasno zawiązaną zieloną chustkę. I to mnie niepokoi. Dobra, przebijamy się do wejścia.

Pomysł dobry, ale wcale nie taki znów łatwy. Zwarty tłum gęstniał, groził zgnieceniem. Dopiero gdy nadjechały policyjne radiowozy, niektóre nawet z Malibu, otwarto dodatkowe bramki.

- Są także osiłki z Chicago - powiedział Pete półgłosem.

- I nasi. Nawet Mat Wilson z Georgem Lawsonem.

Policja wspólnie z ochroniarzami rozładowała w końcu gąszcz małych. Przeważali ci z Rocky Beach, Malibu, Santa Monica. Także z przedmieść Los Angeles. Poznawało się ich po czerwonych pasach na skórzanych kurtkach i sznurowanych glanach. Szpanowali jak zawsze. Dziewczyny także. Wszystkie smukłe, w czerwonych perukach i dżinsowych spodenkach sięgających połowy ud.

Jupe odsunął się, czując, jak ktoś z tyłu napiera. Już chciał rugnąć, gdy ją zobaczył.

- Czemu się we mnie wcierasz? - warknął.

Dziewczyna o pałających oczach i chudych ramionach jeszcze bardziej się skuliła.

- Zasłoń mnie - szepnęła. - Uciekłam glinom.

Bob natychmiast ją poznał.

- Ty jesteś Loretta?

- Ja. Skąd wiesz?

- Łachmaniarz mi mówił. Taps. Dealer narkotyków z "Saloonu u Billa".

Dziewczyna obciągnęła podarty sweter. Gdy tylko minęli bramkę, ruszyła truchtem na zaplecze.

Sala wypełniła się w dziesięć minut. Usiedli na dalszych miejscach, w lewym rzędzie. Muzycy stroili instrumenty. Dekoracji nie było prawie żadnej, jeśli nie liczyć dwóch podpiętych zasłon w głębi. Oddzielały tylną część sceny od zewnętrznej. Całość, wraz z maszyną i zapadniami, uruchamiana była tylko wtedy, gdy do miasta ścigał zespół teatru muzycznego z off off Broadway. Ale taka gratka zdarzała się najwyżej dwa razy w roku.

Już pierwsze takty poruszyły publiczność. Gitara basowa wydobywała z tysięcy gardeł fanów nieustający jęk rozkoszy. Ale wszyscy czekali na solistkę i najslynniejszego perkusistę świata i okolic.

- Dobrze się czujesz? - Bob unosił się na siedzeniu. - Chciałbym, by wszyscy byli szczęśliwi.

Jupiter wzruszył ramionami.

- W porządku, Bob. Czy to Calista?

Dziewczyna stanęła w kręgu ostrego zielonego reflektora. Jej czarna peruka lśniła jedwabiem. Włosy sięgały kolan. Miała na sobie czarny, skórzany biustonosz i jedną nogawkę spodni. Długie białe udo, kształtna łydka i bosa stopa dopełniały całości.

- Ooodlotowa! - zaszemrała widownia.

Głos Calisty rozsadał mury. Nawet nie potrzebowała wzmacniaczy. Za jej plecami przemknął spóźniony perkusista. Dziewczyna uniosła dłonie. "Gary" gruchnęły echem pałeczek. Johnny Kendall dawał popis siły i muzykalności.

Sala zamarła. I wtedy to się stało.

Uniesione w górę pałeczki nagle wypadły mu z rąk. Ciało perkusisty przechyliło się do przodu, potem do tyłu i gruchnęło na wznak. Zapadła cisza, a po niej rozległ się wrzask.

- On tak specjalnie? - zdziwił się Jupiter Jones.

- Coś ty! - Bob rozglądał się niespokojnie.

- Nie rozumiem, dlaczego nie wstaje! - Pete uniósł się z krzesła.

Nad Johnny'm Kendallem pochyłali się członkowie zespołu. Calista wciąż stała z uniesionymi rękami. Czekala na ponowne wejście muzyki. Gdy się wreszcie obejrzała, wydała z siebie ostry krzyk.

Widownia oszalała. Część młodzieży sądziła, że to jakaś nadzwyczajna sztuczka w wykonaniu High Tower Record. Inni rozumieli, co się święci.

- Złoty strzał - usłyszał Jupiter za plecami. Odwrócił się gwałtownie.

- Co?

Chłopak miał bladą twarz i krople potu na czole.

- Złoty strzał. Śmiertelny.

- Nie rozumiem! - jęknął Andrews. - Czy to znaczy, że...

- On nie żyje. Dał sobie w żyłę tuż przed wejściem na scenę. Chciał nas rzucić na kolana. Ale przedawkował. To się nazywa "Złoty strzał". Ostatni w życiu.

Przez następną godzinę na sali Saxa Sendlera rozgrywało się pandemonium. Trzy tysiące fanów chciało opuścić koncert. I choć obsługa, policja i ochroniarze torowali drogę do awaryjnych wyjść, trzej Detektywi wciąż tkwili na żółtych krzeselkach.

- Nie ruszamy się! - wrzasnął Pete. - Bob, Jupe! Nie ruszajcie się z miejsca.

- Wiem - uspokajał go Jones. - Mogliby nas zdeptać. Przeczekamy.

Gdy wreszcie wyszli w chłód nocy, czuli się jak pijani. Za bramką, w zdeptanej i zaśmieconej alejce klęczała zapłakana Loretta. Łzy zmieszały się na policzkach z czarnym makijażem.

- Wygląda jak wdowa po gangsterze - wystękał Pete.

Bob podbiegł do dziewczyny.

- Wstań. Nie możesz tu zostać.

Pewnie nic by nie wskórał, gdyby u wylotu alejki nie pojawił się radiowóz. Z wnętrza wyskoczył wysoki mężczyzna w policyjnej czapce naciągniętej na czoło.

- Zostaw ją! - cios, którym rozłożył Boba, nie należał do łagodnych.

Pete rzucił się na ratunek.

- Czy pan zgłupiał? Chcemy pomóc dziewczynie!

Policjant sprawnie zakuwał spłakaną.

- Nie wasza sprawa! Jazda do domu!

Znad kierownicy rozległ się bas:

- Pomóc ci, Phil?

- Nie trzeba. Już ją mam!

Radiowóz odjechał wolno w stronę śródmieścia.

- Gliny z Chicago - zdziwił się Bob. - Dlaczego wzięli dziewczynę, a nas zostawili? - Ból od ciosu pomału ustępował. - Ale ma ciężką łapę.

- Boli cię? - Jupe pomagał mu wstać. - Chyba ją śledzą. To już drugi raz.

- Jest ćpunką. - Bob oddychał głęboko. Chicagowska policja musiała być szczególnie dobrze szkolona.

- Ale nie jest dealerką - zastanowił się Jupiter. - W "Saloonie u Billa" nie zakuli Tapsa. Tylko ją. Jedną, jedyną z całej zapełnionej po brzegi sali. Dlaczego?

Tego nie wiedział nikt.

ROZDZIAŁ 5

CO ROBIŁA IZA-PAPUGA NA PODWÓRZU U SAXA?

Następnego dnia miejscowa, i nie tylko, prasa pełna była opisów śmierci nieszczęsnego perkusisty. Zerwany koncert, poturbowana młodzież uciekająca z sali na łeb na szyję, bezradność ochroniarzy i policjantów, dantejskie sceny sfilmowane przez dziewiąty kanał CNN.

- Więcej nie pójdziesz na żaden koncert! - lamentowała ciotka Matyllda. Wuj Tytus kiwał głową z aprobatą. Choć raz mieli jednakowe zdanie.

- Kto się tego mógł spodziewać, ciociu? - Jupiter chodził z kąta w kąt.

- Wszyscy! - huknął wuj, wypukując popiół z wygasłej fajki. - Odkąd się pojawiły na imprezach narkotyki...

Jupiter Jones zatrzymał się.

- Wuju, narkotyki na imprezach były już czterdzieści lat temu.

- Ale nie na taką skalę jak teraz! Nie słyszałem, żeby Fitzgerald lub Sachmo padali na deski po przedawkowaniu! To się nie miało prawa zdarzyć. Nie miało prawa!

Po południu do Kwatery Głównej przygalopował Crenshaw. Bob tkwił przed komputerem, oglądając materiał internetowy.

- Widziałem się z Debrą. Twierdzi, że ktoś z policji zdradził dziennikarzom, że chodzi o całkiem nowy narkotyk. Jakaś piekielna mieszanina heroiny z nieznaną substancją pochodzenia afrykańskiego. Fiolki, znalezione w donicy z dracaną w apartamencie Calisty, mają podobno niesłychaną moc.

- I co jeszcze wie pirania z CNN?

- Że jeśli w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin tutejsza policja nie upora się ze sprawą, śledztwo przejmie FBI!

- Federalni! - Bob okręcił się na krzeselku. - Wilson tego nie przeżyje!

- Ci z Chicago pewnie też się przyłożą - mruknął Jupe. - Mówcie, co chcecie, ale to jest nasza sprawa!

- Sądziś, że policjanci będą ze sobą konkurowali?

- Murowane! I wszyscy się rozłożą. Bo jedni są za głupi. A drudzy nie znają terenu!

Jupiter zatarł dłonie.

- Tak więc sprawa jest nasza, panowie!

Jechali w stronę Bloomsbury Street nie po to, by obejrzeć teren wczorajszych ekscesów, lecz by odnaleźć Łachmaniarza. Tylko dzięki niemu mogli zorientować się, kto rozprowadza nowy narkotyk. Taps był płotką, ale każda mała rybka zna większą. Tak można, po nitce do kłębka, dojść nawet do... rekina.

- Nie wiem, czy zauważyliście - zaczął Bob - ale Loretta miała nadgarstek opleciony takimi samymi sznurkami koralików, jak te znalezione w piwnicy salonu kosmetycznego. Że nie wspomnę o odznace.

- Odznakę miało wczoraj trzy tysiące fanów. Można ją kupić za pół dolara - sprostował Jupe, zmagając się z czwartym biegiem - ale koraliki... cenne spostrzeżenie, Bob.

Pete żuł gumę.

- Sądzicie, że ona tam była? Razem z facetem w zielonej chustce?

Jupiter kręcił głową z powątpiewaniem.

-Wszystko to jakieś niejasne. Żadne puzzle nie pasują. Coś przeoczyliśmy, ale co?

- Niepokoją mnie gliniarze z Chicago. Mało współpracują z naszymi. Jakby mieli swoje zadanie. Nie wydaje wam się to dziwne?

- Nie - Pete przykleił żującą gumę do metalowej ramy - już o tym mówiliśmy. Będą konkurować. Jupe, zatrzymaj się!

Jupiter bez słowa wcisnął hamulec. Wiedział, że Crenshaw nie zawołałby, gdyby to nie było absolutnie konieczne. Zahamował wzdłuż krawężnika.

- Co jest?

- Spokojnie. Nie wychylaj się. Przed nami schował się wóz patrolowy. Śledzą kogoś. Poczekajmy, może być interesująco.

Czekali piętnaście minut, jedząc chipsy, których żaden nie lubił.

- Bez sensu - zaczął Bob i urwał. - Widzicie, kto idzie?

- Iza-papuga! To ona! - ucieszył się Jupe. - Patrzcie, samochód policyjny rusza za nią.

- No, to i my! - powiedział Pete. - Jedź tak wolniutko, jak tylko się da.

Iza Grubber szła przed siebie, nie rozglądając się na boki. W ręku niosła czarną teczkę. Wyraźnie się spieszyła i dlatego nie dostrzegła śledzących ją wozów. Oba posuwały się wolno i oba czyniły to w sposób równie perfekcyjny. Dziewczyna przeszła jezdnię dokładnie na wprost sali Saxa.

- Do licha! - mruknął Jupiter. - Idzie do Sandlera? Po co? Koncerty są

zawieszono do odwołania.

- Podejrzewam, że nie tylko muzycy tu bywają. - Bob był nieomal pewien, że jego była firma ma jakieś powiązania z handlarzami narkotyków. - Dobrze, że już dla nich nie pracuję!

Jupiter gwałtownie zahamował. O mały włos, a zagarażowałby w kufrze radiowozu.

- Uff! - jęknął. - Nie zauważyłem, że znów stanęli. Co teraz?

- Oni wysiadają. - Pete, wychylony do przodu, nie spuszczał oka z policjantów. - My także.

Musieli jednak odczekać. Wejście do sali Saxa było widoczne jak na patelni. Nie było żadnych drzew, baraków ani płotów. Dopiero gdy obaj policjanci zniknęli z pola widzenia, ostrożnie ruszyli do przodu.

- Cisza w eterze! - zażądał Jupiter. - Krok Indianina!

Skradali się wzdłuż muru, potem podwórzem aż do załomu budynku odsłaniającego widok na placyk i "Saloon u Billa".

Dziewczyna stała obok starej beczki po benzynie. Kiedyś była tu stacja napraw starych samochodów. Iza wyglądała na osobę, która przyszła zbyt wcześnie, ma mnóstwo czasu i dobrze o tym wie. Jednak rozglądała się niespokojnie, obciążając krótki kremowy sweterek.

Pete przyłożył usta do ucha Jupitera.

- Gdzie są gliny?

Jupe wzruszył ramionami. Poczłł szturchnięcie od strony Boba.

- Tam - wyszeptał - dobrze się ukryli. Widzisz wrak olds-mobila?

Jupiter skinął głową. Stary grat bez kół i z rozkradzioną tapicerką stał z boku. Wewnątrz kuliło się dwóch gliniarzy.

- Szkoda, że nam zajęli... - zaczął i przerwał, słyszając kroki. Zdążył dać znać dłonią pozostałym, by się mieli na baczności. Od strony biura Saxa Sendlera nadchodził facet w skórzonym kapeluszu i śmiesznym, długim płaszczu do kostek. W rękę niósł opasłą teczkę. Z dziewczyną wymienili krótkie zdania i... teczki. Iza natychmiast zrobiła w tył zwrot. Przemknęła obok Trzech Detektywów, nawet ich nie zauważywszy. Mężczyzna w płaszczu postąpił inaczej. I to był jego błąd. Kiedy oparł teczkę o żelazne wieko beczki, z wraku samochodu wyskoczyli policjanci.

- Stój, bo strzelam! - wrzasnął ten z chicagowskim akcentem.

Facet nie zdążył się odwrócić, ponieważ jak osłupiały patrzył w swoją teczkę.

Była pusta! Tak go to rozwścieczyło, że błyskawicznie wyciągnął broń. Huknęły dwa strzały. Prawie jednocześnie. Ten drugi z broni policjanta. Ofiara była tylko jedna: mężczyzna z pustą teczką.

- Nic ci nie jest, Phil? - policjanci przyklękli obok rannego.

- Widzisz to samo, co ja? - wystękał Pete, oblizując suche wargi.

- George Lawson! - stwierdził Jupe. - Drugi z policjantów to nasz rodzimy Lawson! Kim jest ranny?

Policjanci wciąż kucali. Ten zwany Philem pocierał nieogolony podbródek. Kręcił głową jak człowiek, który nie może uwierzyć, że to, co widzi, jest prawdą. George z telefonu wzywał karetkę.

- Przecież to Joe Rocco! Gitarzysta basowy zespołu High Tower Record...

Chłopcy delikatnie wycofywali się na z góry upatrzone pozycje, czyli do wnętrza starego, pocziwego forda. Jupiter Jones wciąż skubał wargę.

- To było jak w gangsterskim filmie! Spotyka się dostawca narkotyków z odbiorcą. Ona ma towar. On pieniądze. Tylko że jej teczka jest... pusta! Wyrolować faceta z bronią? Bo Joe Rocco nosił broń. Przynajmniej czterdziestkę piątkę.

Pete rozpierał się na tylnym siedzeniu.

- Jak to opowiem Debrze Winters... no, diabli ją wezmą, że nie było jej tu z kamerą!

- Chcesz jej opowiedzieć? - głos Boba brzmiał głucho. Nie mógł zapomnieć twarzy swego muzycznego idola leżącego na bruku.

Zajęczał sygnał karetki pogotowia. I drugiego radiowozu. Był w nim samotny gliniarz z Chicago. Ten o basowym głosie. Wysiadł i poszedł wprost w kierunku miejsca strzelaniny. Tam też skierowała się karetka.

- Może on nie umrze - pocieszał się Jupe - może go tylko niegroźnie postrzelili?

- Strzelał Lawson - skwitował Pete - mierzył w nogi. I uratował Philowi życie.

Kto by pomyślał, że za tym wszystkim kryje się nasza Iza-papuga?

Jupiter Jones bębnił palcami w kierownicę.

- Puzzle znów się nie zgadzają. Jedziemy! Nic tu po nas.

- Dokąd? Bo ja bym... - Bob urwał, patrząc spod oka na Jupitera.

Pete roześmiał się. Znali się jak złe szelągi.

- Wiem, co ty byś. Chcesz pojechać do zakładu kosmetycznego naszej papugi Izy Grubber?

- Ona nic nam nie powie. Te trzy przyjaciółki z boiska przestają mi się podobać.

Może i grały razem w koszykówkę, może ściągały jedna od drugiej szkolne sprawdziany. Ale teraz siedzą w tym narkotykowym biznesie po uszy!

Bob miał wątpliwości. Jak zawsze.

- Pamela także? Przyszła do nas cała w pomidorach, przerażona.

Pete rozważał uczciwie wszystkie za i przeciw.

- Zapominacie, że faceta w zielonej chustce na długich włosach widziała później. I to jak przez mgłę. Nawet gdyby to był Rocco, nie poznałaby go. Po co miałyby nas wprowadzać w błąd?

- Żeby mieć niepodważalne alibi - wtrącił Jupiter Jones. - Tak się załatwia fałszywy dowód. Wiedziała, że opowiemy o wszystkim policji, gdy nas zapytają.

- Fakt. Tylko dlaczego jeszcze nie zapytali?

- Właśnie.

Bob wyglądał przez szybę. Mijali hotel "The Regent". Przed wejściem stały obie: Pamela Carrol i Iza Grubber. Obie roześmiane, wesołe. Czarna teczka zniknęła jak sen złoty.

Jupe znów gwałtownie hamował. Zupełnie jak kierowca świeżo po kursie jazdy.

- Do diabła!

- Krzycz głośniej! - upomniał go Pete. - W Nebrasce mogliby cię usłyszeć.

Dziewczyny nie zwróciły uwagi na stojący samochód. Wyglądały niczym rozplotkowane więźniarki, które właśnie opuściły San Ouentin po trzydziestu latach odsiadki. I nie mogą się rozstać.

- Co robimy?

Pete gramolił się z tylnego siedzenia.

- Wysiadam. Pogadam z nimi jakby nigdy nic. Wy jedźcie... - umilkł, przyglądając się uważnie wielkiej donicy z kwitnącym krzakiem oleandrów, ustawionej tuż obok wejścia do hotelu.

- Co się stało? - Bob, jak zwykle był czujny.

- Tam za kwiatkami ukrywa się nasza ćpunka. To nie może być bez znaczenia.

Jupiter Jones podjął decyzję.

- Dobrze, Pete. Zajmij się Pamelą i Izą. Pierwsza miała rzekomy areszt domowy, druga teczkę. My z Bobem będziemy śledzić ćpunkę. Coś powinno z tego wyniknąć. Taką mam nadzieję.

- Nadzieja - najbardziej zgubne słowo w naszym kraju. To cytat z Eleonory Roosevelt.

- Wróć do naszych czasów, Bob. Chcę ci przypomnieć, że jest rok dwutysięczny, prezydentem jest Robert Redford i właśnie wynaleziono windę! - Pete zatrząskiwiał drzwiami. Jego twarz promieniała uśmiechem. - Cześć, dziewczyno! Zaprosicie mnie na colę do baru hotelu "Regent"?

Pamela także uśmiechnęła się promiennie. Iza skrzywiła wargi. Powiedziały coś, czego Jupiter nie usłyszał. Ruszył wolniutko na wstecznym. Loretta właśnie opuszczała punkt obserwacyjny w krzaku. Przebiegła przez jezdnię, by wtopić się w tłum przewalający się bulwarem.

- Widzisz ją? - denerwował się Jupe.

Bob wyciągnął lornetkę.

- Tak. Biegnie w stronę skrzyżowania. Chyba chce przejść przez Regent Park. Jedź prosto.

- Nie mam innego wyjścia. Jest zakaz zawracania. I co?

Bob wystawił głowę przez otwarte okno.

- Mam wrażenie, że idzie do dzielnicy meksykańskiej. Może tam mieszka?

Jupiter skinął głową.

- Jeśli tak, to wiem, co dalej robić.

Dziewczyna kilkakrotnie przebiegała jezdnię, chwilami znikła w zaułkach, ponownie się wynurzała i znów gubiła.

- Piekło i sztuczna noga! - zaklął Jupe. - To już prawie slumsy. Chyba ją zgubiliśmy.

Bob wykręcił szyję. Bez rezultatu. Już chcieli zrezygnować, gdy nagle usłyszeli ostry, kobiecy krzyk, a potem szamotaninę. Wybiegli tylko po to, by dostrzec tył radiowozu i wysoką sylwetkę policjanta zakuwającego Loretę w kajdanki.

- No, chyba przesadził! - Bob chciał biec na pomoc, ale Jupiter Jones w ostatniej chwili przytrzymał go za koszulkę.

- Stój! Chcę wiedzieć, gdzie łobuz zabierze dziewczynę! Do wozu!

Teraz śledzili radiowóz. W środku był tylko Phil i dziewczyna. Zrobili małą rundkę, by zaparkować pod starym drewnianym domem pamiętającym chyba czasy pierwszych osadników. Phil wyprowadził opierającą się. Weszli do środka. Bob notował:

- Crescent Avenue trzydzieści osiem.

- Idziemy! Tylko bez szaleństw. Bob. Mamy do czynienia z policjantem na służbie.

Ukryli się pod skrzypiącym podestem schodów. Z mieszkania na pierwszym piętrze dochodziły wrzaski Loretty i dziwnie spokojny, stanowczy w tonie głos Phila. Trwało to ze dwadzieścia minut. Gdy usłyszeli męskie kroki na schodach, wtarli się w mrok. Policjant wyszedł na ulicę. Sam.

- Na górę, Bob!

Ostrożnie zapukali do pierwszych drzwi. Nikt nie otwierał.

- Sądzisz, że on zrobił jej krzywdę? - Bob Andrews miał minę człowieka zdolnego do najgorszych czynów.

- Nie wiem. Naciśnij klamkę pod szóstką. Słyszę coś jakby płacz.

Ku zdumieniu obu chłopców drzwi uchyliły się. W szparze dojrzelili ściany z tapetą w kolorze buraczków, żelazne łóżko, stolik i kulawe krzesło. Jedyne, co w pokoju było ładne, to obrazek: zielona, ukwiecona łąka, a w tle Góry Skaliste.

Dziewczyna leżała na łóżku. Jej prawa dłoń przykuta była kajdankami do metalowego wezglowia. Płakała z twarzą w poduszce.

- Loretta? - Bob dotknął jej dłoni. Przestraszyła się. Rozmazany makijaż sprawiał, że była podobna do cyrkowego klauna.

- Co tu robicie? Uciekajcie!

Jupiter Jones kręcił palcami młynka.

- Nigdzie nie pójdziemy, dopóki nam nie powiesz, co jest grane.

Zamknęła oczy.

- Nie wasz interes.

- Nasz! - oburzył się Bob. - Jesteśmy detektywami. Rozwiązujemy trudną łamigłówkę. Czy on... czy on...

- Co? - oczy dziewczyny pałały. - Chcecie wiedzieć, czy on mnie krzywdzi?

- No właśnie. Chodzi nam o policjanta. Przyjechał do Rocky Beach z Chicago. I aresztował cię już trzeci raz. Dlaczego?

Dziewczyna odwróciła się.

- Nie mieszajcie się w to. Ale... możecie mi załatwić działkę. Nie brałam od wczoraj... jest taki... Taps.

Jupiter zmarszczył brwi.

- Nie kupimy ci narkotyku. Spróbujemy cię uwolnić z tych kajdanek. Dlaczego on to robi? Wiesz coś o gangu?

Nie odpowiedziała. Potrząsnęła włosami, zakrywając wymizerowaną twarz.

Bob zbliżył się. Wyjął z kieszeni pęk drucików, scyzoryk z pięcioma ostrzami i

jeszcze jeden przyrząd, tyle dziwny, co skuteczny: mały zgięty pręcik z nierdzewnej stali. Dłubał w zamku nie dłużej niż trzy minuty. Potem uśmiechnął się zwycięsko.

- Udało się. Ale powiesz nam, o co chodzi? Jaki Phil ma interes, by cię tu trzymać?

Pocierała ścierpnięty nadgarstek.

- To jest moje chwilowe mieszkanie. Było także meliną Johnny'ego Kendalla. Ale on nie żyje...

Bob patrzył ze współczuciem na cienkie ramiona i wychudłą twarz dziewczyny. Kiedyś musiała być śliczna. Zostały czarne oczy ocienione długimi rzęsami, prosty nos i mały zalotny pieprzyk nad górną wargą.

- Wiemy. Ale dlaczego Phil...

- Nic więcej nie powiem. Gliny z Chicago śledzą trasę przerzutu heroiny. Ten drugi, z basowym głosem, nazywa się Bruno Wexler. Uwziął się na Johnny'ego. Ale on nie handlował. Tylko brał. Tak jak ja. I umarł.

- Złoty strzał? - spytał łagodnie Jupe.

Wzruszyła ramionami.

- Muszę się stąd zmyć. Inaczej znów mnie dopadnie.

- Nie powiedziałaś dlaczego - upierał się Bob myszkując po kątach.

- I nie powiem! - ocierała twarz mokrym ręcznikiem. Bez ostrego makijażu wyglądała młodziej i ładniej.

Bob wyjął wizytówkę.

- Tu masz nasze nazwiska. I telefon. Gdybyś...

- Zmywam się! - gorączkowo pakowała mały plecak. - To straszne, Johnny nie żyje, a Rocco...

- Został tylko postrzelony. Odwieziono go do szpitala. Miał broń.

Zastygła w bezruchu. Kręciła głową z niedowierzaniem.

- Co wy...

Jupiter Jones rozłożył ręce.

- Tak było, Loretto. Strzelił do Phila...

Zakryła uszy, wtulając głowę w ramiona.

- Nie, nie! Kto zranił Joego? Bruno?

- Nie. Policjant z Rocky Beach.

- Wexlera nie było? - wydawała się zaskoczona.

- Nie.

Zbiegli ze schodów w trójkę. Jupiter wyszedł sprawdzić ulicę.

- Czysto. Podwieźć cię?

- Nie.

Śmignęła w bok tak szybko, że nie zdążyli jej pożegnać.

- Coś tu śmierdzi - stwierdził Jupiter, skubiąc wargę. - Ona wie dużo więcej, niż powiedziała.

Bob gramolił się na siedzenie obok kierowcy.

- Jak mieliśmy ją zmusić do mówienia? Torturami? Potępiam wszystko, co nie jest zgodne z prawem.

Jupe włączył silnik. Zachichotał.

- Jak się to ma do sprawnego otwarcia policyjnych kajdanków?

Bob spojrział z ukosa.

- Bo kajdanki też były bezprawne! Jasne?

- Jasne. Co ściskasz w łapie?

Andrews otworzył pięść. Wypadła garść koralików nanizanych na sznurek.

- Leżały na łóżku Loretty. Chciałem sprawdzić...

Jupiter łagodnie ruszył.

- Wyglądają tak samo, jak te znalezione w piwnicy. Ona tam była. Loretta. Mam dziwne wrażenie, że jeszcze się spotkamy.

- To nie wszystko - mruknął Andrews, pokazując małą, plastikową torebkę.

- Co tam masz?

- Zebrałem z podłogi. To czerwone, pokruszone spadło z butów. Musiało się powbijać w podeszwy.

Jupiter zerknął.

- Cudowny środek na pojedrzenie ciała, czy tak? Mazidło pomidorowe z gabinetu kosmetycznego Izy-papugi. Dowód, że Loretta tam była. W piwnicy.

Bob pokręcił głową.

- Sprawdziłem jej sandały. Są gładkie pod spodem. Bez śladu czerwieni.

- Zatem z czyich butów spadły? Phila? Bruna? Kendalla?

- Nie wiemy, czy Bruno był w pokoju Loretty. Tamci dwaj - tak.

- Masz rację. Dużo tu niewiadomych.

ROZDZIAŁ 6

NIEZAPOWIEDZIANA WIZYTA

Tymczasem Pete wpatrywał się uparcie w zielone oczy Pameli Carrol. Nie, nie w barze hotelu "Regent". Okazał się zbyt drogi jak na kasę Crenshawa. Toteż wylądowali w końcu w barku kawowym przy parkowej alejce.

Dziewczyny taktycznie milczały. Pete postanowił działać przez zaskoczenie.

- Po co niosłaś neseser z forszą dla Joego Rocco? - zaatakował Izę.

Obruszyła się. Jej nos wydłużył się chyba o sześć centymetrów.

- Co ty gadasz?

Pete położył dłoń na jej zaciśniętej pięści.

- Iza, byłem tam. Widziałem całą akcję. Policjantów, Joego i ciebie. Dlaczego przyniosłaś pustą teczkę? On miał towar. A ty? Gdzie forsa?

Pamela westchnęła.

- Wiedziałam, że tak będzie. Od momentu kiedy wylądowałam w waszym barakowozie...

- Bałaś się. I wyglądałaś, no...

Iza zagryzła wargi.

- Nie twój interes.

- Mój. Jestem detektywem. I wiem, co znaczy, gdy ktoś chce wyrolować handlarza narkotyków, choć Joe Rocco na pewno nie jest głową tego narkobiznesu. Tylko jedną z płotek. Ale miał broń. I użył jej. Czy wiesz, że twoje życie wisi na włosku?

Iza Grubber roześmiała się. Ale jej oczy były przerażone.

- Nic nie rozumiesz. Ja byłam wtyczką policji. Ktoś to spotkanie zaaranżował. Na komisariacie. Mnie tylko poproszono, bym zniosła walizeczkę i natychmiast dała nogę. Jak najszybciej.

Pamela odgarnęła pasmo blond włosów.

- Ale strzelaniny nie uwzględniono w tym planie?

- No nie - zgodziła się papuga. - Gdybym wiedziała, że gitarzysta ma broń...

Pete zamyślił się.

- Policja pewnie też nie wiedziała, inaczej nie narażaliby cię na niebezpieczeństwo. Czy to pomysł tych z Chicago?

- Skąd? - zdziwiła się Pamela. - Dlaczego z Chicago?

Iza patrzyła na Crenshawa szeroko otwartymi oczyma.

- To sierżant Mat Wilson prosił mnie o wykonanie specjalnego zadania. Mówił, że to mnie uwolni od podejrzeń...

Crenshaw nie mógł poskładać myśli. Wciąż nic mu się nie zgadzało.

- Zrekapitulujmy fakty. Do twojego zakładu wchodzi dwóch zbirów. Usypiają ciebie, a potem Pamelę. Zaciągają ją do piwnicy. Potem uciekają, niczego nie rabując. Czy tak?

- Tak. - Obie skinęły głowami.

- Potem Pamela się budzi, widzi nad sobą, jak przez mgłę, faceta w zielonej chustce i dziewczynę...

- Nic nie wiem o dziewczynie! - zaprzeczyła Pamela. - Tylko faceta i dziwny zapach.

- Jasne! - Crenshaw stuknął się dłonią w czoło. - Dziś jesteśmy prawie pewni, że była tam też dziewczyna. Zostawili cię, ponieważ okazało się, że nie jesteś Calistą. I nie masz tego, czego szukali.

- Wzięli mnie za Calistę? Wiem, że moja siostra jest w to wszystko wplątana. Miałam ją nawet przez jakiś czas udawać. Ona tak naprawdę nazywa się Jody. Calista to artystyczny pseudonim. Wiem także, że w jej apartamencie znaleziono jakieś fiolki z nowym, groźnym narkotykiem. Ale Calista nie przyznaje się do nich. Nie jest narkomanką, choć wie, że jej koledzy brali. Mówiła glinom, że nie zagląda do doniczek z kwiatami. Marc opiekuje się nimi, jak wszystkim, co dotyczy apartamentu.

- Kim jest Marc?

- Marc O'Grady. Pełnomocnik administratora.

Pete żałował, że nie ma tu Boba wraz z jego grubym notesem, w którym zapisywał wszystko, co przydatne w śledztwie.

- Ciągnę dalej - westchnął pocierając czoło. - Pamela zjawiała się w naszej Kwaterze Głównej, Calistę zaś policja ewakuuje w nieznanym kierunku...

- Bo nie chcieli narażać jej życia. W penthousie nieraz odbywały się balangi. Każdy mógł coś podrzucić, schować. Ona w ogóle nie zwracała uwagi na otaczających ją ludzi. Policji pewnie chodziło o to, by przeszukać apartament, nie alarmując mediów - szeptała Pamela pochylona nad stołem. - Ale mam numer jej komórki...

Pete uśmiecha się szeroko. Wie, że dziewczyny lubią, gdy pokazuje swoje zęby.

- Dobrze. Odbywa się koncert. Tuż przed wejściem na scenę perkusista Johnny Kendall łąduje sobie narkotyk. Czymś wzmocniony. Zapewne ma to związek z tajemniczymi fiolkami, które pokazały się po raz pierwszy na narkorynku. Złoty strzał

kończy się śmiercią na estradzie. Świadcami są tysiące fanów rocka. Teraz ty, Iza. Kiedy policja zaproponowała ci wymianę teczek?

Papuzi dziób krzywi wargi. Jest chyba najbrzydszą kobietą na świecie. No, może tylko w Rocky Beach.

- Nie wiem, czy powinnam ci mówić.

- Mat Wilson kazał ci złożyć przysięgę na Konstytucję, że nie powiesz ani słowa?

Iza Grubber wydawała się totalnie zaskoczona.

- Na Konstytucję? Nie. Mówił tylko, żebym nie gadała po próżnicy. Ale... wam chyba mogę? W końcu zajęliście się Pamela...

- Właśnie. - Crenshaw znów wyszczerzył zęby z jedną akrylową plombą. Zresztą niewidoczną.

- Mat Wilson... to znaczy pan sierżant przeprowadzał rewizję w moim gabinecie. Pytał o szczegóły. Potem przyszło jakichś dwóch innych. Mówili z dziwnym akcentem.

- Gliny z Chicago. Co dalej?

- Jeden z nich, dudnił basem, powiedział, że trzeba nakryć szajkę handlarzy. Że sytuacja przynosi wstyd tutejszej policji i...

- Mat się wkurzył?

- Jeszcze jak! Wrzeszczał, że żaden caps z Chicago nie będzie go uczył pracy. Ale wtedy włączył się drugi...

- Wiem. Nazywa się Phil. I co?

- Łagodził sprawę. Powiedział, że przyjechali do Rocky Beach, bo od dawna tropią gang. Wiedzą, że zamieszani w handel są niektórzy członkowie zespołu High Tower Record. Chcą ich wyłuskać. I że trzeba przygotować prowokację. Ja miałam być rzekomym nabywcą. Z walizką pełną forsy. Chyba z pół miliona bagsów. No... na niby.

- Policja nie wiedziała, kto będzie odbiorcą?

- Nie. Dali cynk przez jedną ćpunkę. Ona się od lat kręci koło ludzi z zespołu. Jeździ z nimi po całej Ameryce. Była chyba dziewczyną perkusisty.

- Obrzydliwe! - westchnął Pete. - Wykorzystali biedną małolatę.

- Policja nie zna litości! - wzruszyła ramionami Pamela. - Mnie też maglowali ponad trzy godziny. Powiedziałam im o wizycie w waszej tej... no... Kwaterze Głównej. Ci przyjezdni tylko się śmieli. Nasi nie. Aspirant Lawson nawet powiedział coś dobrego o was. Że umiecie znajdować winnych...

- George Lawson nie znalazłby nawet dłoni we własnej rękawiczce! - prychnął

Crenshaw.

Pamela wstała z krzesła.

- Na mnie już czas. Idziesz, Iza? Może mogłabyś mi położyć maseczkę... - pokiwały mu na pożegnanie.

- Mówię wam, że w tym wszystkim siedzi sam diabeł! - przekonywał Bob Andrews pozostałych detektywów. - To, co opowiedział Pete, ma ręce i nogi. Ale ktoś tym wszystkim steruje. Bo jasne jest, że ćpunka to nasza Loretta. I kto przekazał wiadomość Joemu Rocco? Gliniarz, który ją ściga niczym zwierzątko, przykuwając kajdankami do łóżka?

- Powinniśmy go obserwować, panowie - zamruczał Jupiter Jones. - Ale nie wszyscy.

- A kogóż to szanowni detektywi chcą obserwować? - rozległ się ostry głos. W drzwiach Kwatery Głównej stał sam wielki i niepokonany Mat Wilson. Sierżant z posterunku w Rocky Beach.

- O - ucieszył się Bob. Lubił przepychanki z Matem. Toczyli je od ładnych paru lat. - Proszę siadać, szefie.

- Nie jestem waszym szefem! - wrzasnął, purpurowiejąc na twarzy. - Kręcicie się wokół sprawy, z którą policja ma tysiąc kłopotów...

- Kłopoty to pańska specjalność! - roześmiał się Jupiter. - Tak mawiał pański najślynniejszy poprzednik. Niejaki Perry Mason.

- Nie znam! - ryknął Mat.

- A powinien pan znać. - Bob miał jak najlepsze intencje. - Czytywanie kryminałów pozwala rozszerzyć horyzonty.

Mat bez uprzedzenia klapnął na najbliższy fotel. Niestety, ten miał tylko trzy nogi i dzielny sierżant wyrznął tyłkiem o podłogę. Kurz uniósł się na co najmniej dziesięć centymetrów. No, może piętnaście. Oszołomiony olbrzym zbierał się niezgrabnie.

- Brak panu codziennej gimnastyki - westchnął Pete - ćwiczeń w siłowni.

- Milczeć! Bo zrobię z was galarete! I zamknę na trzy lata!

- Za co? - zabiadolił Bob.

- Za utrudnianie pracy policji!

- Nie zdążyliśmy powiedzieć, że fotel jest... tego... niepełnosprawny, ale...

- Milcz!

Jupiter Jones uniósł się honorem. W końcu gruby gliniarz jest tylko gościem w Kwaterze Głównej.

- Proszę się uspokoić. Przyszedł pan do nas, sierzancie, i bardzo dobrze. Jesteśmy panu potrzebni? Świetnie. Ale dobre wychowanie obowiązuje wszystkich. A zatem? Czym możemy służyć?

Mat Wilson, wciąż purpurowy niczym dojrzały burak, powoli się uspokajał. Zajął skwapliwie krzesło podsunięte przez Boba.

- Nie zawali się. Ręczę honorem.

Sierzant sapał, pocąc się niemiłosiernie.

- Dobra - warknął - co robiliście w zakładzie kosmetycznym niejakiej Grubber?

- Udaliśmy się tam po rzeczy Pameli Carrol. Przyszła do nas odziana wyłącznie w... sos pomidorowy. Jej ubranie zostało w salonie. Była przerażona...

- Skąd wiedziała, gdzie jest ta wasza... nora?

Pete westchnął.

- Pamela jest przyjaciółką mojej byłej dziewczyny Kelly Madigan. Kelly bywała często w Kwaterze Głównej. Wie, czym się zajmujemy.

- To przestańcie się tym zajmować. Natychmiast!

- Ale dlaczego? - Bob nie widział żadnych po temu argumentów.

- Bo policja ma dość własnych spraw, żeby jeszcze latać za wami!

- Nikt nie musi za nami latać! - obruszył się Jupiter. - Jesteśmy sprawnymi detektywami. Potrafimy odkryć wiele wątków, o których policja nie ma najmniejszego pojęcia...

- Na przykład? - Głos Mata nabierał niebezpiecznych tonów.

- Nie musimy panu niczego ułatwiać! - bronił się Andrews. - Mój tata, który pracuje w redakcji "Los Angeles Sun", twierdzi, że...

- Milczeć! - huknął Mat, wstając. - Z prasą jeszcze sobie pogadam! Krytykują mój komisariat za... tego...

- Nieudolność - ośmielił się bąknąć Bob. - Za pięćdziesiąt sześć godzin sprawę przejmie FBI. Tak się mają rzeczy. A my możemy być szybsi.

- I podamy panu sprawców na tacy - uśmiechnął się szeroko Crenshaw. - Tylko niech nam pan nie przeszkadza.

Mat Wilson zmarszczył brwi. Taktyka Trzech Detektywów nie była wcale głupia. Nie raz odkrywali coś, co przeoczyła policja. Jeśli rzeczywiście o czymś wiedzą, to może obeszłoby się bez udziału konkurentów z FBI?

- A konkretnie? - wydusił.

- Pozwoli nam pan sprawdzić coś w laboratorium Sanchez? I nie będzie nas śledził radiowozem?

- I powie nam, gdzie jest Calista?

- Nie powiem. Tego nie wiedzą nawet gliniarze z Chicago.

Jupiter Jones kręcił młynka palcami. Czuł, że przyparty do muru Mat mięknie.

- To chociaż proszę nam powiedzieć, dlaczego ją trzymacie w odosobnieniu?

- Czekamy, aż ktoś zechce nawiązać kontakt. W sprawie tych fiolek, które znaleziono w jej mieszkaniu. Ktoś bardzo chce je odzyskać. To nowy, bardzo groźny składnik narkotyku. Wart wielkich pieniędzy. Więcej nie powiem.

Pete zmarszczył brwi.

- Coś tu nie gra, panie Wilson. O fiolkach wie już całe Rocky Beach. Także o prowokacji ze sprzedażą prochów, postrzeleniem Joego Rocco. Kogo tak naprawdę podejrzewacie?

Mat włożył na głowę szerokoskrzydły kapelusz ze śladami potu. Palcem puknął Crenshawa w pierś.

- Skoro jesteście tacy dobrzy, to się domyślcie, panowie detektywi. A na współpracę z Sanchez się zgadzam. Wyszedł łomocząc po stosie starych desek.

- I co? - spytał Bob.

- I nic. - Jupiter wziął głęboki oddech. - Jedziesz do laboratorium. Uprzedź Sanchez telefonicznie. Sprawdź koraliki i resztki czerwonego mazidla. Musimy mieć pewność, czy pochodzą z salonu Izy Grubber.

- Dobrze. Wezmę rower. A wy?

- My? - zastanowił się Jupe. - Pojedziemy szukać Łachmaniarza. Albo zacznie gadać prawdę i całą prawdę, albo... zakablujemy faceta na policji. I jeszcze jedno - coś z Calistą nie jest w porządku. Jedni mówią, że nie była narkomanką, drudzy, że ćpała. Trzeba wszystko wyjaśnić.

Bob pedałowal, ile miał sił w nogach. Laboratorium, z którego korzystała policja w Rocky Beach, leżało na południe od chińskiej dzielnicy, pomiędzy supermarketem z artykułami przemysłu elektronicznego a Szkołą Handlową. Budynek z szarego piaskowca miał dziesiątki korytarzy, drzwi ze złożonymi tabliczkami i niewiarygodną ilość ludzi pracujących w środku.

- Do inspektor Sanchez - zameldował portierowi.

- Zajęta. Pracuje.

- Tyle to i ja wiem. Jeśli zaraz nie zostaną zaanonsowani, pan przestanie tu pracować. To pewne.

Gburowaty mężczyzna, cierpiący na wątrobę, wykręcił wewnętrzny.

- Tu jeden taki... - zerknął na wizytówkę. - Detektyw.

Sanchez wraz z trojgiem współpracowników zajęta była badaniem bulgoczącego płynu o konsystencji oleju. Wejście Boba wcale nie było jej na rękę.

- Czego? - warknęła Meksykanka, jeżąc czarny wąs. Jego gęstość kojarzyła się nieodparcie z filmami z Charlie Chaplinem.

- Mam sprawę. Przysłała mnie Mat Wilson. Chodzi o to, by zbadać, czy te koraliki są częścią... - grzebał w kieszeni - tego naszyjnika. No... czy to była całość. Nitka i tak dalej...

- I tak dalej... - wąs Sanchez jeździł w górę i w dół. - Potrzebne na wczoraj, tak?

- Tak - wybąkał Bob. - I jeszcze, czy to są... pomidory!

- Alice! - Meksykanka miała głos puchacza. - Weź i zbadaj.

Wesoła blondynka chwyciła podane pakuneczki.

- Zaczekaj.

Andrews nie dał się dwa razy prosić. Usiadł na składanym krzeselku, przypatrując się konsoli z migającymi światełkami. Wszystko, co dotyczyło techniki, wzbudzało w nim nieklamany entuzjazm.

- Co z drugą fiolką? - wrzasnęła Sanchez.

- To samo. Hydrox BTW. Wyjątkowo silne działanie toksyczne. W połączeniu z kokainą lub heroiną - śmierć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Bob zastrzygł uszami. Trzeba słuchać, notować i o nic nie pytać. Każde pytanie mogłoby spłoszyć laborantów.

- Substancja pochodzenia afrykańskiego - facet w błękitnym kitlu podobny był do filmowego amanta. Pewnie spóźnił się na autobus do Hollywood i wylądował w tym gmachu, bez szans na srebrny ekran. - Odtrutka możliwa, gdy się zwiąże...

Andrews nie nadążał z notowaniem. Żałował, że się bardziej nie przykładał na lekcjach chemii i biologii. Określenia padające z ust fachowców były nie do zapamiętania.

- Co z samolotem? - Sanchez nacisnęła czerwony guzik. W butli coś zasyczało, rozległ się bulgot, a potem pokój wypełnił obrzydliwy smród.

- Jezu! - stęknął Bob. - Jak kupa nietoperza!

Amant filmowy wybuchnął śmiechem.

- Coś w tym jest, młody człowieku. Ale dlaczego nietoperza?

Bob Andrews lekko się zaczerwienił.

- Jako dzieciak łąziłem po jaskiniach w górach. Tam spały nietoperze głowami w dół. I też tak cuchnęło.

Wróciła blondynka z papierową torebką i wydrukiem komputerowym.

- Masz tu wynik. Obie części są tego samego pochodzenia. Nawet PH potu się zgadza. Dziewczyna, która nosiła tę bransoletkę, jest narkomanką.

- Wiem. Dziękuję pani. A drugie?

- Pomidory, oliwa, wyciąg z czosnku, kurz i resztki oleju silnikowego. Niezrozumiała mieszanka...

- Co z samolotem? - wrzeszczała Sanchez do słuchawki. - Za cztery godziny? Które lotnisko? Malibu? Dlaczego... aha, dobrze. Jeśli dziewczyna nie dostanie odtrutki do dziewiątej wieczorem, będziecie mieli następnego trupa!

Bob aż przysiadł z wrażenia. Ale miła blondynka bezceremonialnie wypchnęła go z gabinetu.

- Do diabła! - wymruczał. - Dam głowę, że tu chodzi o Calistę!

ROZDZIAŁ 7

KTO RĄBNAŁ TAJNĄ PRZESYŁKĘ?

Łachmaniarz siedział skulony w bramie tuż obok wejścia do "Saloonu u Billa". Miał tylko trzy działki do sprzedania. I żadnego klienta. Kiedy dostrzegł zbliżającego się Jupitera, chciał dać nura. Ale Pete był szybszy. Nie bez obrzydzenia chwycił chłopaka za połą wyświechtanej kurtki.

- Hej, a ty dokąd, Taps?

- Jak Boga kocham, odczepcie się! - miauczał. Walka z Crenshawem nie wchodziła w rachubę. - Przez was mam tylko kłopoty!

- Widziałeś Lorette? - spytał Jupiter.

- Nie. Od czasu jak Johnny Kendall wykorkował, wciąż gdzieś znika. A to ona napędza klientów.

- Gdzie ją spotkamy? Myśl, chłopie. Jeśli nic nie powiesz, zakablujemy cię w komisariacie i pójdziesz na obowiązkowy odwyk.

- Cholera, wszyscy szukają Loretty! A bo to jedyna ćpunka?

- Wszyscy, to znaczy kto? - Pete wciąż nie puszczał brudnej kurtki.

- Jeden gliniarz. Przyczepił się do niej nie wiedząc czemu. Wciąż biedaczkę zakuwa w kajdanki. Taki z Chicago.

- Jest dwóch gliniarzy z Chicago.

- Ale ściga ją tylko ten jeden. Wołają na niego Phil.

Jupiter Jones oparł się o pustą beczkę. Jego uwagę przykuł wychodzący z agencji Saxa Sendlera facet z filmową kamerą.

- Co on tu robi?

Łachmaniarz zaciągnął się petem.

- Telewizja CNN. Chcą robić wywiad z Brandonem Falkiem.

Pete puścił wreszcie brudasa.

- Wiem. Ten gitarzysta z zespołu High Tower Record. Ostatnia gwiazda. Po śmierci Kendalla i wypadku Rocco zespół właściwie nie istnieje. Wiesz może, gdzie jest Calista?

Łachmaniarz skulił się. Wyglądał bardzo nieszczęśliwie.

- Cholera, idźcie stąd! Przez was nie sprzedam ani jednej działki! Z Calistą chyba jest niedobrze...

- Przecież nie jest narkomanką?

Taps zgarniał swoją torbę.

- Słyszałem, że ktoś jej coś wstrzyknął. Z zemsty. Tak gadał jeden elektryk z zespołu. No idźcie już!

- A ty skąd bierzesz prochy? No? Te, które sprzedajesz?

Dealer roześmiał się.

- Co ty, koleś, życia nie znasz? Ja jestem ostatnim ogniwem w tym łańcuszku. Płoteczką. Nade mną są rekiny!

Jupiter Jones miał dość. Sam dobrze wiedział, że niczego z chłopaka nie wydusi.

- Słuchaj, nie zakablujemy cię. Ale co jeszcze wiesz o solistce?

Łachmaniarz zdusił niedopałek butem z oderwaną podeszwą.

- Mówią... no, ludzie od Saxa, że jest w jakimś szpitalu. Brandon chciał się czegoś dowiedzieć. Jest załamany, że zespół się rozleciał. Mieli w planach dużą trasę po Kalifornii. Wszystko przez te fiolki. Nie wystarcza głupolom heroina? Musieli ładować jakieś świństwo afrykańskie?

- Skąd o tym wiesz?

- Od Brandona. Podobno, po śmierci Johnny'ego, policja ją zabrała, ale się urwała. Ktoś ją jednak dopadł. Myślał, że to ona ukryła fiolki. Brandon znalazł ją, gdy już ledwie zipała. Zawieźli bez sygnału. I to nie karetką, żeby nikt się nie domyślił. Brandon opowiadał w barze. Tutaj - palcem wskazał wejście. - Spytajcie barmana.

Pete wyprostował się. Dowiedzieli się chyba więcej, niż się mogli spodziewać.

- Zjeżdżamy stąd, Jupe - powiedział cicho. - Trzymaj się wozu CNN. Podejrzewam, że Debra Winters może znać adres szpitala. Od Mata się przecież nie dowiemy.

Jechali za wozem telewizyjnym, ale, niestety, na światłach przy Crescent Rhode zgubili się.

- Co teraz? - Jupiter gryzł palec ze złości.

Zza rogu, na sygnale, wyskoczył radiowóz. Przemknął obok i z dużą prędkością znikł w alei.

- Chicagowcy! - gwizdnął Pete. - Spróbujmy za nimi.

Jechali w stronę zjazdu na autostradę do Malibu. Jakies dwadzieścia kilometrów dalej w kierunku północno-wschodnim leżało małe lotnisko lokalnej linii Air Malibu. Wóz policyjny miał pierwszeństwo przejazdu. Oni nie. Toteż gdy wpadli w końcu na płytę obok pasa startowego, niewiele było do zrobienia.

- Gdzie wóz policyjny? - zdziwił się Jupiter. - Widziałem ich z góry, z serpentyny, jak pruli w tym kierunku.

Pete wysiadł. Rozglądał się wokoło. Oprócz małej awionetki z żółtymi znakami rozpoznawczymi na pasie nie było nikogo.

- Wyparowali czy co? Nie podoba mi się to. Zostań w wozie, ja pójde się rozejrzeć.

- Dlaczego mam zostać? - rozłościł się Jupiter. Nie lubił, gdy ktokolwiek odsuwał go od śledztwa.

Pete pochylił się. Prawie wyszeptał mu do ucha:

- Bo może będzie się trzeba nagle ewakuować. Kogoś ścigać. No, nie wiem. Jupe, jestem szybszy. Włącz silnik i czekaj.

- W porządku. Rozumiem.

Pete ruszył kołyszącym się krokiem. Po lewej miał hangary, a po prawej oszklony budynek biurowy. Na wprost - wieżę kontroli lotów. Dwie cesny stały w hangarze. Pracowali przy nich ludzie w zielonych kombinezonach. Awionetka na pasie miała ciepły silnik i nieprzyjemnego pilota w kabinie.

- Hej! - Crenshaw zapukał w szybkę z pleksi. Głowa człowieka w helmfonie ani drgnęła. Pete wycofał się, dokładnie obejrząwszy samolot. Luk bagażowy stał otworem.

- Co tu robisz? - usłyszał basowy głos.

Bruno Wexler, policjant z Chicago, trzymał go na muszce. Pete błyskawicznie podniósł ręce w górę.

- Zaglądałem do kabiny. Pilot wygląda, jakby umarł. Wexler nie ruszył się ani o milimetr. Trzymał broń wciąż wymierzoną w środek czoła Crenshawa. Drugą dłonią włączył radiotelefon.

- Phil, do mnie - wymruczał. - A ty stój.

W tej samej chwili, z piskiem opon, nadjechały dwa samochody: radiowóz Mata Wilsona i karetka szpitalna. Z tej ostatniej wysiadła Sanchez.

- Macie to?

Mat Wilson szedł, spluwając na boki. Dłonią odsunął pistolet wymierzony w Crenshawa.

- Zostaw. Znam go. Niczego nie dotykałeś?

- Tylko szyby - przyznał Pete. - Co jest grane, panie sierżancie?

Sanchez wezwała lekarza. Podeszedł starszy mężczyzna z dużą łysiną. Zajrzał do

kabiny. Pobieźnie zbadał nieprzytomnego.

- Żyje. Czymś go łupnięto w kark. Inaczej nie mógłby wylądować.

- Do szpitala doktora Rastafinsky'ego! Natychmiast! Może mu coś wstrzyknięto? - Sanchez miała wściekłą minę. - Co z przesyłką?

Wexler wzruszył ramionami. Nadszedł Phil.

- Nic nie wiem. Zostałem tu tylko tego! - palcem wskazał Crenshawa.

Pete poczuł zimną wściekłość.

- Dopiero co przyjechaliśmy! - wrzasnął. - Ścigaliśmy wasz radiowóz!

Mat wypluł gumę do żucia. Spokojnie przyglądał się, jak załadowywano pilota na nosze.

- Zjeżdżajcie stąd, detektywi od siedmiu boleści! Jasne?

Pete nie zamierzał się kłócić. I tak wiedział więcej, niż się mógł tego spodziewać. Obrzucił tylko złym spojrzeniem chicagowców.

- Jeszcze się spotkamy! - wymruczał.

Jupiter o mały włos się nie ugotował z ciekawości i gorąca. Przez szybę obserwował całą policyjną akcję.

- Co się dzieje, Pete?

- Ruszaj, to durne gliny!

- Dlaczego on do ciebie mierzył? - Jupe ciągnął pod górę, nie bacząc, że wóz policyjny jedzie tuż za nim.

- Bo wie coś więcej.

- Wexler? Więcej niż kto?

Pete wyprostował nogi. Dopiero teraz zaczął się uspokajać. Stanie z rękami w górze pod lufą czterdziestki piątki Smith and Wesson zdarzyło mu się po raz pierwszy.

- Więcej niż Mat, Sanchez i wszyscy święci razem wzięci - zrymował, choć to był najzupełniejszy przypadek.

Jupiter jechał na południe. Oba radiowozy dawno ich wyprzedziły. Nie mówiąc o karetce.

- Co wiesz?

- Ta awionetka przywiozła jakąś szalenie potrzebną przesyłkę dla szpitala doktora Rastafinsky'ego. Kojarzysz?

- Odtrutkę na fiołki znalezione u Calisty? Piosenkarka może być w tym właśnie szpitalu. Jeśli jest prawdą, co mówił Taps. To prywatna klinika dla bogaczy z Beverly Hills i okolic.

- Tak. Tylko że luk był pusty, kiedy tam nadszedłem. Przesyłka wyparowała. Sanchez się wściekła.

Jupiter Jones przyspieszył. Myśli kłębiły mu się pod czaszką. Czuł, że są blisko, bardzo blisko. Ale wciąż brakuje w tym sensu.

- Przecież radiowóz chicagowców był wcześniej. Widziałem. Stał zaraz za barakiem administracji. Kiedy ty poszedłeś do awionetki, widziałem przez okno Phila.

- Tylko jego? A Wexlera?

Jupiter pokręcił głową.

- Nie. Ale wiesz, stałem bokiem.

- Kto mógł rąbnąć pakunek z luku? - Crenshaw szukał na mapie zjazdu do Lake City.

- Nie wiem. Kierownik lotu? Mechanicy z hangaru? Gliny?

- Trzecim zjazdem, Jupe. Jeśli chcemy dotrzeć do kliniki. Radiowozy też tam poleciały. O ile nas nie wyrzucą. Mat wyglądał na wściekłego.

- Bo zostały mu tylko dwie doby, Jupe. Potem wejdzie FBI.

Bob Andrews najpierw gryzł palce w Kwaterze Głównej, a potem wsiadł na rower, by nie tracić czasu. Zupełnie nie wiedział, gdzie zawieruszyli się pozostali detektywi. Od czasu wyjazdu forda minęło wiele godzin.

- Gdzie jesteście, do diabła? - mamrotał, pedałowując. Wolał sprawdzić, czy nic się przyjaciółom nie stało. - Mieliście tylko pogadać z Łachmaniarzem!

Zaparkował u wejścia do agencji Saxa Sendlera. Kiedyś dojeżdżał tu codziennie do pracy. Zajrzał na podwórze. Nikogo. Z wraka oldsmobila dochodziły czyjeś wrzaski. Bob nie miał wielkiego pola manewru. Powtórzył to, co zrobili wcześniej: wtarł się w zakamarek koło beczki. Nie czekał długo. Z wnętrza wypatroszonego auta dobiegały ostre słowa przerywane łomotem jakiegoś narzędzia.

- Ja nic nie wiem! - darł się Łachmaniarz.

- Uważaj, gnojku, twoje życie nie jest tego warte! Gdzie dziewczyna?

- Nie wiem. Dawno jej tu nie było! Niech pan mnie nie bije!

Andrews poczuł zimną wściekłość. Zrozumiał, że ktoś się znęca nad drobną, dealerską płótką. Ale nie mógł biec na ratunek. Nie był ani Supermanem, ani Robocopem z telewizyjnych seriali. I za wszelką cenę chciał zobaczyć oprawcę. Z daleka.

- Kto jej teraz sprzedaje działki?

- Ja nie. Interes źle idzie. A Loretta nie ma już forsy. Aż się tu roi od policji i jakichś domorosłych detektywów!

- Kogo? - głos sięgnął szczytów hysterii.

- Tacy jedni. Mówią, że są detektywami.

Wrzaski Tapsa ucichły. Widocznie oprawca postanowił zakończyć swój zbrodniczy proceder.

Bob czuł, że mu ślina zaschła w ustach. Z wnętrza oldsmobila wysunął się wysoki facet w roboczym kombinezonie. Rękawy miał umazane jakąś tłustą substancją. Nie pokazał twarzy. Tylko solidne szerokie plecy. Zniknął w drzwiach "Saloonu u Billa".

Bob bez namysłu skoczył w kierunku wraka. Łachmaniarz zbierał właśnie swój wypatroszony worek.

- Dobrze, że cię nie zabił! - powiedział Bob, spoglądając na zakrwawiony nos Tapsa.

- To znowu ty? - Łachmaniarz wycierał twarz brudną szmatą. Bob podał mu swoją nieskazitelnie białą chustkę.

- Zostaw! Możesz się nabawić zakażenia! - wycierał krew pomimo oporu poszkodowanego. - Co to był za facet?

Taps wyglądał, jakby się miał za chwilę rozplakać.

- Co cię to obchodzi? Nie mieszaj się w moje sprawy. Możesz gorzej oberwać. Możesz nawet, koleś, życie stracić.

Bob jakoś uporał się z nosem Łachmaniarza.

- A ty nie?

- Nie. Bo im nie włożę w życiorysy. Ja dla niego pracuję. A on jest niebezpieczniejszy od kobry.

- Dlaczego?

- Do cholery, nie rozumiesz? To boss. Szef nad szefami. A teraz ktoś inny mu zalał za skórę.

Andrews poczuł przypływ adrenaliny. Nareszcie czegoś się dowie o rekinach narkobiznesu. Ale po chwili opadły go wątpliwości.

- Szef? I on się zadaje z taką płotką jak ty? W porządnej organizacji nikt nie zna szefa. Nie wie, jak wygląda.

Łachmaniarz wzruszył ramionami.

- Zgadza się. Ale od czasu, jak się w Rocky Beach pojawiły nowe, silniejsze

prochy, coś się popsulo w hierarchii władzy. Nie wiem, dlaczego ważna jest ta mała ćpunka. Ale szefowi zależy, by ją dopaść. A tylko ja wiem, jak do niej trafić.

- Wiesz, gdzie jest Loretta?

Dealer spakował już swoją brudną torbę. Uśmiechnął się krzywo.

- Ciepło, koleś, ciepło.

Bob wyjął z kieszeni pięciodolarówkę, za którą miał sobie kupić śniadanie.

- Masz. Na hamburgera. Więcej nie mam.

Banknot zniknął w pokrzwawionej dłoni.

- Coś ci powiem, koleś. Loretta to karta przetargowa. Gorzej już być nie może.

Tu się rozegra walka na śmierć i życie.

- Dlaczego?

- Bo na terenie starego bossa pojawił się inny. Jeden z nich musi zginąć. Tu chodzi o rynek w południowej Kalifornii. A teraz zmywaj się. Dobrze radzę. Patrz - pokazał świstek zmiętego papieru.

- Co to?

- Wypadło bossowi. Wiadomość od konkurenta. Dam ci. Za te dolary na hamburgera.

Bob rozwinął kartkę. Było na niej tylko jedno zdanie, napisane zielonym długopisem: "Oddasz przesyłkę albo zginiesz! B."

Łachmaniarz wylaził z wraka, walcząc z bólem. Z trudem powłóczył nogami. Bob czuł tylko niewyobrażalne współczucie. Nigdy dotąd nie zetknął się z taką ludzką biedą i nieszczęściem. Łachmaniarz, Loretta... ci wszyscy zdolni, wspaniali muzycy! Bogaci i jakże unieszczęśliwieni nałogiem.

- Po diabła wam te narkotyki! - wrzasnął w głąb podwórza. A potem, schowawszy świstek papieru do kieszeni, ostrożnie otworzył drzwi do baru. Otoczyła go znajoma już woń palonej "trawki", piwa i tytoniowego dymu. Wzrokiem szukał postawnej sylwetki w kombinezonie. Nie znalazł.

- Proszę... cołę - wyjąkał, gdy barman zmarszczył brwi.

Szklanka, popchnięta palcem, podjechała mu wprost pod nos.

- Jak w westernie z Johnem Wayne'em - mruknął. Pił powoli zimny płyn, zastanawiając się, czy wystarczy mu drobnych dzwoniących w kieszeni. - Widział pan może takiego w kombinezonie?

Barman machnął ścierką.

- W czym?

- Takim no... roboczym ubraniu. Zielonym. Szczeka barmana wydłużyła się.

- Spływaj, mały. Możesz nie płacić. Tylko spływaj.

Bob westchnął. Dopił colę i ociągając się, wyszedł. Nie, w barze nie było nikogo w zielonym kombinezonie.

W Kwaterze Głównej spotkali się wszyscy dopiero późnym popołudniem. Ze dwie godziny trwało, zanim sobie o wszystkim opowiedzieli.

- To jasne, że walczą dwa gangi. Facet miał na sobie kombinezon pewnie dla zmylenia śladów. Nie sądzę, by boss, zarabiający milion dolarów, chodził tak ubrany na co dzień. - Jupiter podsumował opowieść Boba. - Trochę ryzykowałeś.

Andrews zmarszczył brwi.

- Wszyscy ryzykujemy. Jak Perry Mason - detektyw wszech czasów.

Nagle Pete zerwał się ze stołka.

- Bob, opisz ten kombinezon. Coś mi przyszło do głowy...

- Zielony, pobrudzony olejem lub smarem. Nic szczególnego.

Crenshaw chodził od okna do drzwi.

- Takie same mieli na sobie robotnicy pracujący w hangarze na lotnisku w Malibu. Widziałem ich kątem oka, kiedy podchodziłem do awionetki.

Jupiter Jones aż klasnął w dłoń.

- To by wyjaśniało, kto podwędził tajemniczą przesyłkę dla kliniki doktora Rastafinsky'ego. Jeśli w niej było antidotum, no, odtrutka na nowy narkotyk, to jej obecny właściciel może wszystkich szantażować.

Pete wciąż chodził tam i z powrotem, doprowadzając tym do szału Boba.

- Pete, usiądź! Migasz mi w oczach! Każdy, kto dostanie do ręki ten lek, będzie królem rynku! Czarnego rynku, naturalnie. A na razie zagraża życiu Calisty. Bo to ona leży w szpitalu.

ROZDZIAŁ 8

CO WYJAWIŁA PAMELA?

Jupiter robił wykres. Na kartce spisał to, co już wiedzieli. Zostały trzy wielkie znaki zapytania.

- Kim są obaj bossowie? Co w tym wszystkim robi mała, nikomu wcześniej nieznana narkomanka o imieniu Loretta?

- Może ona jest kluczem do sprawy? - westchnął Andrews. - Ale dlaczego? U Boga ojca, dlaczego?

- Coś wie? Łachmaniarz też tak sądzi. A gliniarz z Chicago, choć przykuwa ją do łóżka, to jednak nie wsadza za kratki. Dlaczego?

Za dużo tych znaków zapytania. Prawda była gdzieś blisko. Ale wciąż się oddalała. Z każdym dniem, i godziną.

Zadzwonił telefon.

- Tu Bob. Pamela? - zerknął w stronę kolegów. - Płacze, chce do nas przyjść.

- Czekamy - ucieszył się Pete. - Niech przyniesie jakieś żarcie. Najlepiej od Chińczyków.

Jupiter złapał się za głowę.

- Nie wstyd ci? Będziesz w dorosłym życiu damskim utrzymankiem!

Crenshaw ukazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Tylko żartowałem. A swoją drogą nikt nam nie płaci za usługi. Wiesz, ile bierze dziennie detektyw z licencją w Hollywood? Trzy stówki dziennie plus zwrot kosztów.

Jupiter szczerze się zmartwił.

- To kupa forsy, panowie. Jak rozwikłamy zagadkę, może dostaniemy licencje.

- Akurat! - Bob wzruszył ramionami. - Potrzebna jest do tego pełnoletność i... - urwał.

Drzwi huknęły. Do środka, niczym furia, wpadła zapłakana Pamela.

- Co się stało? - Pete zerwał się z krzesła.

- Wiem, gdzie jest Calista. To znaczy... Jody. Moja siostra!

- W klinice doktora Rastafinsky'ego. - powiedział Bob.

- Skąd wiecie? Ona... umiera! Ktoś jej wstrzyknął, z zemsty, jakąś truciznę. A samolot wiozący odtrutkę nie... nie... - łkała przykładając dłoń do ust.

- Nie ma jej na pokładzie - dokończył Pete, obejmując dziewczynę ramieniem.

- Skąd wiecie? - wyszeptała.

- Jesteśmy detektywami - szepnął skromnie Jupiter. I zaraz się skurczył pod krytycznym wzrokiem Boba. - No, wiemy też, że lekarstwo, sprowadzone samolotem do Malibu, podwędził facet w zielonym kombinezonie. Udawał jednego z lotniskowych mechaników. A potem zniknął w "Saloonie u Billa". Nawet gliny się nie połapały.

- W jakim salonie?

- Taki bar na terenie agencji Saxa Sendlera.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

- Sądzicie, że to któryś z muzyków? Z zespołu High Tower Record? Ale dlaczego? Żeby stracić jedyną solistkę, dla której przychodziły miliony fanów? Bzdura do kwadratu!

Crenshaw był tego samego zdania. Trzymał w ramionach Pamelę, tuląc ją jak dziecko. I nie da się ukryć, że sprawiało mu to przyjemność. Wzrok pozostałych detektywów świadczył, że wiedzieli o tym. I potępiali. Jak wszyscy diabli. Odsunął z twarzy włosy dziewczyny.

- Praca detektywa czasem wymaga poświęceń - zamruczał w stronę przyjaciół.

- Dlaczego ja nigdy nie bywam w takich sytuacjach? - zabiadolił Andrews. - Dobra. Coś ustaliliśmy. Ale powiedz nam, bo do dziś będę się nad odpowiedzią: dlaczego policja kazała ci nosić czarną perukę?

Pamela uśmiechnęła się przez łzy.

- Mat Wilson wymyślił, że będę udawała Calistę. Żeby się nie połapali...

- Kto? Ludzie z narkobiznesu?

- Aha. Ale i tak dopadli Jody. Ona nie brała narkotyków. Wiedzieli o tym. Dlatego wstrzyknęli jej to świństwo. - Pamela odsunęła się od Crenshawa. Niezdarnie naciągnęła przykrótką sukienkę na obnażone kolana. - Znalazł ją jeden z chicagowskich glin. Nazywa się Wexler. Była naćpana i nieprzytomna. Trzymała w garści jedną z tych fiolek. Policja natychmiast zawiozła ją do kliniki doktora Rastafinsky'ego. Powiadomiony o wszystkim sierżant Wilson kazał postawić strażnika. Laboratorium wyodrębniło już ten nowy specyfik. Ma w sobie jakieś afrykańskie ziele. Odtrutkę mieli w Huston. W Klinice Leków Tropikalnych. Sprowadzili ją natychmiast samolotem. Tyle że ktoś ją zdążył podwędzić.

- Ten ktoś musiał mieć wtyczkę w policji. Inaczej skąd by wiedział o samolocie?

- martwił się Jupe.

- Może w laboratorium Sanchez? - zastanowił się Bob. - W końcu tam pracuje

tylu ludzi... - Teraz zdobywca odtrutki może żądać milionów.

- Albo ją zniszczyć. - Pete znów chodził od okna do drzwi. - Ale ty, Pamelu, czegoś od nas chciałaś?

- Tak. Proszę, żebyście pojechali ze mną do penthouse'u Jody. Sama się boję.

- A policja? - zdziwił się Bob.

- Policja zapieczętowała drzwi.

- To jak wejdziemy? - zmartwił się Jupiter.

- Mam klucze. Poza tym mieszkam tam. Trzy piętra niżej. Marc O'Grady mnie zna.

- Aaa - przypomniał sobie Pete. - Ten portier? Czego szukasz w garsonierze Calisty?

- Jej pamiętnika. Miała taki. W czerwonej, safianowej oprawie ze złotym zameczkiem. Wygląda jak zwykły notes telefoniczny. Policja wywróciła wszystko do góry nogami. Byłam przy rewizji. Marc też. Ale pamiętnika nie wzięli.

Bob stuknął ołówkiem w obudowę komputera. Było to dość denerwujące.

- Sądziś, że coś zapisała? O czymś wiedziała?

- Możliwe. I tak nie mogę jej pomóc tam, w szpitalu. Nie wpuszczają nikogo. Nawet rodziny. Boję się, że zechcą ją wykończyć. Pomimo strażnika pod drzwiami. Rozumiecie?

Oczywiście, że rozumieli. A ponadto czas uciekał.

Zaparkowali tuż obok kina Atlantic. Tak było bezpieczniej. Wielki multiplex z trzema salami i kwadrofonicznymi ekranami przyciągał setki fanów "Gwiezdných wojen IV". W trakcie seansów parking był zapchany wozami przeróżnych marek. W portierni królował Marc O'Grady. W brązowym uniformie ze złożonymi naramiennikami wyglądał niczym król Bokassa.

- Dzień dobry, miss Carrol. Co słyhać u siostry?

Pamela skrzywiła usta.

- Dziękuję, chyba lepiej.

Szybkobieżna winda wiozła ich na górę.

- Dlaczego nacisnąłeś moje piętro, a nie Calisty? - zdziwiła się dziewczyna chwytając za rękę Jupitera.

- Specjalnie. Portier widzi, które piętro się zapala i gaśnie. Nie powinien podejrzewać, że jedziemy do penthouse'u Jody.

Skinęła głową. Gdy wysiedli na dziewiętnastym piętrze, potrząsnęła torebką. Zabrzęczał pęk kluczy.

- Te są od jej mieszkania. Wejdziemy schodami ewakuacyjnymi.

Drzwi z solidnego dębu zaklejono żółtą, policyjną taśmą. Bob przyjrzał jej się uważnie. Włożył cieniutkie, bawełniane rękawiczki.

- Żaden problem. Da się z powrotem przykleić. Jupe, Pete, wy też nie zostawiajcie odcisków palców. Pamela może. Przecież tu bywała.

Zamki puszczały jeden po drugim. Ostrożnie wsunęli głowy.

- Dobra. Niczego nie dotykać. O rany! Ale metraż! - Pete gwizdnął przeciągle. Penthouse, oprócz dwukondygnacyjnego wnętrza, miał odsuwaną szklaną ścianę wychodzącą na taras - ogród. W ogromnych donicach, zasilanych rurkowym systemem podawania wody, kwitły pnące róże, obsypane pąkami drzewka cytrynowe i zwisały silnie pachnące gałązki zakarandy.

- Pięknie się tu mieszka - westchnął Jupiter. Okna jego pokoju wychodziły na skład złomu ciotki Matyldy. I nic tam nie rosło prócz chwastów.

- Zarabia ogromne pieniądze. Przyplącała to zdrowiem. A może nawet życiem? Kiedyś mieszkaliśmy w Beverly Hills...

Pete uważnie penetrował wielkie i przeważnie puste przestrzenie. Ostrożnie stąpał po kremowym dywanie, w którym grzęzły stopy.

- Ktoś tu jednak był - powiedział, przyglądając się popielniczce z niedopałkiem w środku. - Jody paliła papierosy?

Pamela zbliżyła się do inkrustowanego stolika.

- Nie. Pociągała czasem "trawkę".

- To nie jest "trawka". Tylko golden camel - odparł Bob, prawie przytykając nos.

- Może któryś z policjantów?

Jupiter Jones skubał wargę.

- Wątpię. Oni raczej zbierają ślady, zamiast je zostawiać. Jeśli była tu Sanchez, wykluczone, by choć jeden pet umknął jej uwagi.

- Ale koraliki przeoczyła! - Bob miał satysfakcję. - Wezmę ten papieros do plastikowego woreczka. Pamela, gdzie może być ten pamiętnik?

Dziewczyna podeszła do drzwi garderoby. Odsunęła je, ukazując wnętrze pełne futer, sukien i scenicznych kostiumów. Na dole, w kilku rzędach, stało z pięćdziesiąt par butów.

- A to co? - zdziwiła się, wyciągając z kąta zmięty zielonkawy kłęb.

Pete podbiegł, o mało nie przewróciwszy się o kanapę z białej skóry.

- Ostrożnie, ludzie, to kombinezon z rękawami pobrudzonymi lotniczym smarem. On tu był!

Przerażeni zamarli w bezruchu. Sam narkotykowy boss trzymał się, by złożyć swoje chwilowe przebranie w przestronnej szafie sławnej solistki?

Jupiter najszybciej przychodził do siebie.

- Ani słowa więcej! Mogli zainstalować podsłuch.

Pozostali skinęli głowami. Przez następną godzinę poruszali się po obszernym wnętrzu jak duchy. Pete spakował kombinezon do torby. Przetrzęsł każdy cal. Pamiętnika nie znaleźli. W łazience niedawno ktoś mył ręce. Na bokach umywalki pozostał brud. Ślady były także na różowym mydle. Ręcznik, rzucony niedbale, zachował wilgoć.

- Spływamy! - szepnął Jupiter do ucha Crenshawa.

Zaczęli rozmawiać dopiero, gdy Bob precyzyjnie przykleił policyjną taśmę na drzwiach apartamentu.

- Wracaj do siebie - powiedział Pete do Pameli. - My zjedziemy na dół. Kto jeszcze dysponuje kluczami od penthouse'u?

- Marc. Marc O'Grady. Ma klucze do wszystkich mieszkań. Tego wymaga administrator budynku.

- Więc uważaj na niego - odparł poważnie Bob - jest pierwszym podejrzanym. I ma na palcu sygnet.

- Nic mu się powiem - obiecała dziewczyna. - Gdybym chciała się z wami skontaktować, wiem, gdzie was szukać.

- No, to cześć.

- Cześć.

Wracali do Kwatery Głównej w nie najlepszych nastrojach. Czas płynął przerażająco szybko. Już za chwilę w Rocky Beach zaroją się od agentów FBI. Jeśli o wpływy w narkobiznesie walczy dwóch bossów, to jeden musi zostać wyeliminowany. Takie są wilcze prawa tego rynku.

- Myślę o tym - Bob rozłożył ręce - jak skończył się świetny zespół muzyczny.

- Został jeszcze Brandon Falk. Gitarzysta.

- Fakt. On się podobno najbardziej przyjaźnił z Calistą. No, nie tak, jak myślicie

- Bob drapał się po nosie. - Brandon jest gejem. Ale uwielbiał głos Calisty. Na pewno

bywał na jej balangach. W czasie, gdy pracowałem dla Saxa Sendlera, mówiono o Brandonie, że ma wspaniałą przyszłość. Nie słyszałem, by brał narkotyki. Ale uwielbiał chodzić na zimne piwko.

Jupiter Jones słuchał z uwagą.

- To może być trop. Wiesz, gdzie mieszka?

Bob kliknął myszą. Na ekranie ukazała się fotka Falka i jego szczegółowe dane.

- Jest. West Point 249 B. Niedaleko stąd! Zaraz za parkiem.

Pete pochylił głowę nad ekranem.

- Powiększ plan tej części Rocky Beach. - Bob wykonał polecenie. Ekran rozświetliła zielona sieć ulic, parków, skwerów i placów. - Zawęż pole. Widzicie? To przypadek czy nie?

- Co takiego? - Jupiter zajrzał mu przez ramię.

- Jest bliskim sąsiadem naszej Izy-papugi! A raczej salonu kosmetycznego.

- Idziemy! - ucieszył się Crenshaw. Nie znosił długiego siedzenia na miejscu.

Pieszko, skrótami, przeszli przez park rozświetlony zachodzącymi promieniami słońca. Chyba kończyło się już październikowe indian summer i temperatura obniżyła się do stopnia akceptowalności. Dom przy West Point 249 B był okazałym budynkiem obłożonym syntetycznym marmurem. Wejścia nie pilnował żaden portier. Nad nazwiskiem Brandona był guzik domofonu. Bob bez namysłu wcisnął go. Chwilę czekali. Ale nikt się nie odezwał.

- Tu się nie włamiemy! - westchnął Pete z przekąsem.

I nie było trzeba. Z bramy wychynęła staruszka z puszystym pieskiem. Uśmiechnęła się do chłopców.

- Posłańcy z pizzą? - spytała.

Jupiter błyskawicznie przytrzymał zamykające się drzwi.

- Pekińczyk? - Pete uruchomił czar swego uśmiechu.

Staruszka podreptała za wyrywającym się zwierzątkiem. Mała kulka ciągnęła smycz z szybkością wyścigowego bolidu.

- Do środka! - syknął Jupe.

Wchodzili, na wszelki wypadek, po schodach. Przystanęli tuż przed drzwiami opatrzonymi wizytówką Brandona Falka. Pete przyłożył ucho.

- Ktoś jest w środku - wyszeptał - słyszę szum wody. Może z łazienki? Co powiemy, gdy otworzy?

- Że przyszliśmy po autograf. Albo po bieliznę do pralni - zmyślał Pete. - Ale co

zrobimy, jak nie otworzy?

Jupiter westchnął.

- To, czego najbardziej nie lubisz. Poczekamy. Nie tu. Na górnym podejściu.

Nie zdążyli nawet zjeść całej paczki cebulowych czipsów, gdy drzwi mieszkania muzyka uchyliły się i wyszła z nich... Loretta.

Bob otworzył usta, Pete gwizdnął cichutko, a Jupiter spadł ze schodów potracony przez coś lub kogoś, kto z siłą parowozu przeskoczył kilkanaście schodków, dopadł dziewczyny, przewrócił ją i nakrył własnym ciałem.

Pierwszy oprzytomniał Pete. Rzucił się na napastnika, próbując wykręcić mu ramię. Niestety, napastnik był silniejszy. Gdy wstał trzymając Lorette w ramionach, trójka detektywów oniemiała.

- Pan? - wrzasnął Bob. - Znowu pan ją prześladowuje?

Policjant tym razem nie był w mundurze. I nie miał kajdanków. Ale walczył z taką samą determinacją jak zawsze.

- Nie wtrącajcie się, chłopcy! - powiedział ostro. - Nie wiem, co was łączy z... - zawahał się - ale posłuchajcie mnie...

Pete stał niczym skamielina.

- Loretta, dlaczego on ciebie tak prześladowuje? Kim jest, do diabła?

Dziewczyna nie ruszyła ani ręką, ani nogą. Po jej chudej, wymizerowanej twarzy płynęły łzy.

- Kim jest? Moim ojcem. Tak, moim ojcem.

Detektywi wyglądali, jakby ich życie nagle się skończyło. Bob zbliżył się o krok.

- Naprawdę? Jest pan ojcem Loretty?

- Nie - odparł mężczyzna. - Jestem ojcem dziewczyny o imieniu Candice. Loretta jest tylko w środowisku narkomanów. A ja ją ścigam przez pół kraju. I chcę wyrwać z nałogu.

Pete zamykał i otwierał pięści.

- A myśmy myśleli, że...

- Wiem. Jestem policjantem. Nazywam się Danca. Phil Danca. Candice jest moją córką.

Jupiter odzyskiwał władze umysłowe.

- Co robiłaś w mieszkaniu Falka? - spytał.

- Ukrywałam się - wyjąkała. - Przed glinami, mordercami i takimi wścibskimi jak wy! - płakała w głos.

Phil objął ją ramieniem.

- Muszę cię stąd zabrać, córeczko. Wiesz, że tak trzeba. Chłopcy, możecie mi pomóc?

- Tak - zgodził się wstrząśnięty Bob. - Ona musi się leczyć. Żeby nie skończyła jak Calista. Albo Johnny Kendall!

Policjant wlepił w niego wąskie, prawie białe oczy.

- Co o tym wiecie?

Jupiter sięgnął do kieszeni. Podał bez słowa wizytówkę.

- Jesteśmy prywatnymi detektywami. I mamy zamiar rozwikłać sprawę bossów narkotykowych.

Przez wargi Phila przemknęło coś na kształt uśmiechu.

- Nie za wysoko mierzycie?

- Nie - odparł Pete. - To nie pierwsza sprawa, w której będziemy lepsi od Mata Wilsona.

Phil Danca westchnął.

- Wierzę głęboko. Ale teraz weź kluczyki od brązowego forda stojącego po wschodniej stronie placu. I przyprowadź go pod bramę. Naciśnij trzy razy klakson.

Pete wskazał na Jupitera.

- On jest od fordów. Ja i Bob jeździmy rowerami.

Jupiter nie wahał się ani sekundy. Cieszył się, że nie stracili czasu na próżno.

Crenshaw i Andrews na wszelki wypadek pilnowali schodów. Gdyby Loretcie udało się wyrwać.

- Wie pan to wszystko, co Mat Wilson?

Phil Danca skrzywił usta.

- Wątpię. Tutejsza policja nie chce z nami współpracować.

- Ale George Lawson pomógł panu przyskrzynić Joego Rocco. Byliśmy tam.

Policjant ocierał łzy Loretty dużą, kraciastą chustką.

- No, już dobrze. Pójdiesz do kliniki na odtrucie.

- Najlepiej do doktora Rastafinsky'ego. W Malibu - odezwał się Bob. - Tam, gdzie leży Calista. To znaczy... Jody Carrol.

Phil obrzucił chłopców zdumionym wzrokiem.

- Wy rzeczywiście dużo wiecie.

- Może więcej od pana! - pochwalił się Pete. - Niech pan dobrze szuka faceta palącego golden camel. To ten sam, który w zielonym kombinezonie mechanika

ukradł z lotniska przesyłkę z odtrutką - umilkł pod spojrzeniem Andrews.

Dały się słyszeć trzy klaksony. Cała czwórka zbiegła na dół. Phil Danca kazał córce położyć się na tylnym siedzeniu. Nakrył dziewczynę kocem.

- Nie dowierzam nikomu - szepnął do Jupitera. - Jeśli chcecie, żeby Candice przeżyła, nie wolno wam pod żadnym pozorem zdradzić, gdzie jest.

- Przecież nie wiemy, dokąd ją pan zabiera! - wtrącił Bob.

- I niech tak zostanie - Phil włączył kierunkowskaz. - Ona już nigdy nie pojawi się wśród narkomanów. Przysięgam!

- Przynajmniej jedną mamy z głowy! - ucieszył się Bob. Lubił, gdy się wszystko dobrze kończyło. Także na filmowym ekranie.

Ale film daleki jest od życia. I to miało się okazać niebawem.

ROZDZIAŁ 9

DO KOGO NALEŻY ZIELONY KOMBINEZON?

- I co teraz? - spytał retorycznie Pete, wrzucając do kosza puste opakowanie po chipsach. - Powiniennem pójść do domu.

- Właściwie ja także - zreflektował się Bob. - Ojciec wróci z Los Angeles. Może mieć nowe informacje z prasy. Jupiter Jones ssął wargę.

- Prasa! - wychrypiął lekceważąco. - Zdaje im się, że coś wiedzą, a oni... - zamarł w bezruchu.

- Co się stało? - Bob zawsze wykazywał najwyższą czujność.

- Telewizja z Debrą Winters. I tym... operatorem-niemową.

Pete odwrócił głowę zaskoczony. Dziewczyna z CNN była łakomym kąskiem. Piękna, utytułowana i niegłupia. Niestety, szansę na podbój były słabe.

- To ja zostaję - zdecydował. - A ty, Jones?

Jupiter wzruszył ramionami.

- Wiedziałem, że rudowłosa zatrzyma cię w każdym punkcie kuli ziemskiej. Nie mówiąc o Rocky Beach. Sądzę, że coś się będzie działo pod domem Brandona Falka. Telewizja nie przyjeżdża bez powodu. Ty, Bob możesz iść do domu.

- W razie czego zadzwonisz?

- Jasne! - Crenshaw nerwowo sprawdzał czystość paznokci. Pomyślał też o uszach, ale na ich umycie było stanowczo za późno.

- Ustawiają się w kępie drzew. To znaczy, że chcą zaskoczyć Brandona. Dlaczego?

- Wypytaj Debrę - uśmiechnął się ponuro Jupe. - Bob, do domu!

Andrews, ociągając się, zniknął za rogiem.

- Nie powie. Chyba... - zastanowił się Pete. - Chyba że jej dam jakąś informację, której nie zna.

Jupe włożył ręce do kieszeni. Stali ukryci za drzewem akacjowym niedaleko wejścia do bramy.

- Nie mamy takiej informacji.

- Ależ mamy! - sapnął Crenshaw. - Ona nic nie wie o kombinezonie ani o golden camel z popielniczki u Calisty.

Jupiter kopnął go w kostkę. Rzadko używał takich metod, ale Pete zdenerwował go nie na żarty.

- Chcesz zdradzić rudej babie naszą największą tajemnicę? - wrzasnął. - Gdzie twój rozum?

- Jeden ciepły uśmiech i skoszę ci trawnik pod domem! - zęby Crenshawa błyskały bielą. - Jupe, opamiętaj się! Wyglądasz jak lew, któremu zwiął chrześcijanin! Coś za coś. Nie sprzedaję zielonego kombinezonu na październikowej wyprzedaży w supermarkecie.

Jones zacisnął pięści.

- Ale to ja chcę rozwikłać sprawę! Rozumiesz?

- Urodzony detektyw to człowiek, który wie, czego szuka, zanim to znajdzie. Jupe, zacznij myśleć pozytywnie!

- Za późno! - sapnął Jones, wskazując palcem potężnego lincolna z pancernymi szybami. - Brandon!

- Skąd on się tu wziął? Z katalogu domu wysyłkowego?

Chłopcy bezradnie patrzyli, jak pirania z CNN wyciąga mikrofon w stronę zaskoczonego Falka.

- Nie udzielam informacji! - bronił się, zasłaniając twarz. - Zespołu już nie ma...

- Skąd braliście kokainę? Czy to Calista rozprowadzała nowy silny środek psychotropowy? Czy podała go Johnny'emu Kendallowi tuż przed wejściem na scenę? A potem sama zażyła, by uniknąć odpowiedzialności? Gdzie jest Calista, bo wiemy, że żyje?

- Nic nie powiem. Zostawcie mnie. Wszystko zeznałem na policji. Przesłuchiwał mnie gliniarz z Chicago.

- I co mówił sierżant Bruno Wexler?

Brandon trzęsącymi się rękami usiłował otworzyć bramę.

- Żeby zamknął się w celi i połknął klucz, bo inaczej nie ręczy za moje życie!

Pete miał dość. Usłyszał już na tyle dużo, by móc skrzyżować szpady z Dehrą. I zauważył coś jeszcze: ogromny sygnet na małym palcu muzyka.

- Zostaw go! - podszedł, kołysząc się w biodrach. Od wczesnej młodości ćwiczył chód Humphreya Bogarta. - Ja wiem więcej.

Debra Winters świdrowała go wzrokiem. Gestem kazała operatorowi włączyć kamerę.

- To znaczy, co? - miała na sobie półprzezroczystą bluzkę, bez biustonosza. Pete wgapił się bezmyślnie. - No?

Jupiter nie wytrzymał nerwowo.

- On chce powiedzieć, że wiemy, gdzie przetrzymują Calistę.

Dziennikarka oceniała sytuację.

- Dobra, co chcecie w zamian?

Pete oprzytomniał na tyle, by się włączyć.

- Czy policja wie, kto rąbnął antidotum na lotnisku w Malibu?

Zmrużyła oczy.

- Nie.

- To co powiesz dziś w swoim wieczornym wystąpieniu przed kamerą?

Posmutniała. I to całkiem serio.

- Właśnie chciałam coś dostać od Brandona.

- Posłuchaj nas! - ucieszył się Jupiter. - Przed włączoną kamerą.

Debra otworzyła szeroko oczy. Ale nie byłaby sprytną łowczynią ludzkich sekretów, gdyby nie wykorzystwała każdej sytuacji.

- Dobra! Steve, włącz kamerę, jedziemy!

W kuchni ciotki Matyldy paliły się wszystkie lampy. Nawet te w wielkiej chłodni za ścianą. Wuj Tytus ładował mrożonki, wśród których główną atrakcją był piętnastokilowy indyk.

- Nie za wcześnie? - martwiła się ciotka.

- Wyprzedaj. Przed Świętem Dziękczynienia będzie kosztował pięć razy drożej. Matyldo, na co czekasz? Włóż puszki z marynowaną dynią. Także te z pomidorami.

Ciotka ostro zabrała się do pracy I dlatego, gdy nadszedł podekscytowany Jupiter, nie było kolacji.

- Ciociu, wujku, zaraz wystąpię w telewizji! Obejrzyjcie!

- Co? - Matylda uniosła znad dolnej półki zaczerwienioną twarz. - Ty? W telewizji? Dlaczego?

- Bo jestem słynnym detektywem. No... jednym z trzech.

Wuj przeszedł do jadalni.

- Na którym kanale?

- Na dziewiątym. CNN wiadomości. Zadzwoń do Boba. On nic o tym nie wie.

Ale telefon u Andrewsa nie odpowiadał.

Ekran rozjaśnił się i przekazał wiadomość o zbliżającym się huraganie "Molly", atakującym Florydę, wizycie prezydenta w Nikaragui i ataku wściekłych pszczół afrykańskich w buszu.

- Pszczoły są, a ciebie nie ma - stwierdziła ciotka, stając w drzwiach.

- Teraz!

I faktycznie. Rudowłosa Debra wskazywała bramę domu, w której zniknął Brandon Falk.

- Oto ostatni członek-założyciel słynnego zespołu rockowego High Tower Record. Ostatni żyjący...

Ciotka kręciła głową.

- Wystawia faceta na odstrzał. Prawie mówi: zbrodniarze, jeszcze zostawiliście jednego! Ukatrupić go!

Wuj syknął.

- Nie kracz, Matyldo. Takie są media. O, Pete i Jupe!

Debra stała uśmiechnięta, trzymając za ramiona obu chłopców.

- A oto, drodzy państwo, młodzi...

- Detektywi! - wszedł w słowo Jupiter.

- A oto detektywi, którzy wiedzą wszystko! O narkotykach, muzykach, kto się z kim spotkał, kto na kogo dybie i, przede wszystkim, gdzie podziła się słynna piosenkarka Calista! Panowie, macie głos!

- Mógłbyś schudnąć, Jupe! - ciotka usiadła w fotelu. - Spójrz, jaką figurę ma Pete.

Na ekranie Jupiter Jones i Crenshaw snuli opowieść, jak to określili, od zarania dziejów:

- Z pewnego salonu kosmetycznego dwóch gangsterów miało porwać solistkę zespołu High Tower Record. Calistę. Sądzieli najprawdopodobniej, że ma ze sobą fiołki z tajemniczym, nieznanym dotąd na rynku narkotykiem. Może je u niej widzieli. Ale pomylili osoby. W salonie kosmetycznym nie było Calisty. Na fotelu leżała jej siostra - Pamela. W pomidorowym sosie...

- No, już przesadziłeś, Jupiterze! - skrzywił się wuj.

- Zbrodniarze uśpili Pamelę i kosmetyczkę Izę. Kiedy się zorientowali w pomyłce, wynieśli dziewczynę do piwnicy - kontynuował Pete z czarującym uśmiechem. - Tam znalazła ją inna para, która najprawdopodobniej, w tym samym celu, śledziła gangsterów. To młoda dziewczyna - narkomanka Loretta i gitarzysta zespołu. Sądzymy, że środowisko związane z muzykami stało się bazą i centralą handlu kokainą, heroiną oraz owym nowym środkiem, który dla Johnny'ego Kendalla okazał się śmiertelny. "Złoty strzał".

- Skąd wy o tym wiecie? - jęknęła ciotka, załamując dłonie.

- Ciii - uciszał ją wuj Tytus.

Pete słał do widzów swoje najsłynniejsze uśmiechy.

- Tymczasem na dwudziestym drugim piętrze w swoim apartamencie piękna i sławna Calista przerażona śmiercią perkusisty zażywa ów nowy narkotyk...

- Lub ktoś jej go siłą wstrzykuje, tego jeszcze nie wiemy... - dorzucił Jupiter, postępując krok do przodu.

- Calista zostaje w głębokiej tajemnicy przewieziona do prywatnej kliniki doktora Rastafinsky'ego w Malibu.

- Kto ją tam przewozi? - przerywa Debra, wysuwając się przed Jupitera.

- Policja. Sierżant Mat Wilson z posterunku w Rocky Beach. Robią to dla bezpieczeństwa dziewczyny. Wygląda na to, że tylko ona wie, kto wypuścił na amerykański rynek nieznaną dotąd, groźną w skutkach substancję o właściwościach psychotropowych. Calista jest od tej chwili najbardziej strzeżonym obiektem w naszym kraju...

- Bardziej niż Fort Knox z całym złotem USA! - dorzucił filuternie Pete.

- Co jeszcze wiecie, panowie detektywi? - Debra uśmiecha się słodko. Ale oczy ma zimne. Jak rekin. Jupiter bierze oddech, nie udaje mu się jednak wysunąć przed kamerę. Silna dłoń Crenshawa trzyma go w kurczowym uścisku.

- Tymczasem, w policyjnym laboratorium badają ów nowy narkotyk z fiolek znalezionych u Calisty...

- W donicy z dracena! - wtrąca Crenshaw. - Sanchez, ekspertka w dziedzinie chemii, wie już, jakie antidotum jest potrzebne na ów Hydrotox coś tam. Znajduje je aż w Huston.

Ciotka Matylda splata i rozplata palce. Jej policzki płoną.

- Skąd wy o tym wiecie? - biadoli.

- Cicho, Matyldo. Wiedzą, i już. - Wuj Tytus pęcznieje z dumy. Sam wychowywał Jupitera po śmierci jego rodziców. Dziennikarka robi krok do przodu.

- Widzicie państwo? Ci młodzieńcy wiedzą nie tylko, co się dzieje w naszym spokojnym mieście, ale także to, co policja ukrywa przed obywatelami...

- Bo policja... - wtrąca Crenshaw.

- Jest nieudolna! - stwierdza radośnie rudowłosa pirania. - I szuka pomocy u gliniarzy, pardon, policjantów z Chicago!

Jupiter nie znosi Mata Wilsona. Ale z całkiem innego powodu. Nie podoba mu

się ton, w jakim relacjonuje Debra Winters.

- Nieprawda! Mają bardzo mało czasu. Ale my możemy pomóc. Wiemy o czymś, czego... - ostry kuksaniec Crenshawa powoduje, że Jupiter na moment traci oddech. Pete ciągnie z uśmiechem:

- Jak już wspominaliśmy, w Huston, w najsłynniejszym laboratorium amerykańskim, znaleziono antidotum na ów śmiertelny specyfik. Samolot prywatnej linii przywiózł go na lotnisko w Malibu.

- I w ten sposób Calista została uratowana! - kończy z radością Debra, odbierając mikrofon. Ale nie przewidziała planu Jupitera, który wyrwał jej mikrofon z ręki z taką determinacją, że aż zapiszczało.

- To wcale nie koniec afery! Samolot wylądował, ale pilota ktoś ogłuszył, a przesyłkę ukradł.

Debra wyglądała, jakby ją koń kopnął w szczękę.

- To są tajne dane...

- Proszę bez manipulacji, panno Winters! - Jupiter czuł, jak rośnie w nim przeogromna wściekłość. - Czasem trzeba coś zataić dla dobra śledztwa, a czasem wręcz przeciwnie! Bo my wiemy, kto ukradł przesyłkę z Huston. I niech ten ktoś także wie, że jego zielony kombinezon i pozostawiony w popielniczce golden camel są... dobrze przez nas ukryte! Na ustniku papierosa są resztki śliny. To wystarczy pannie Sanchez. Także spocony kombinezon. Zielony!

Debra Winters dała znak kamerzyście. Obraz zniknął z ekranu.

- Co wyście najlepszego narobili! - jęknął wuj Tytus, łapiąc się za głowę. - Teraz nasz dom jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

- Tych fantów nie ma w naszym domu! - uspokoił Jupiter. - Są dobrze schowane...

Wujostwo z trudem przychodzili do siebie. Ale i tak rozpętało się pandemonium. Telefoniczne. Pierwszy był Bob.

- Jupe, tata mówi, że oszaleliście! Gangster od zielonego kombinezonu urządzi teraz polowanie. Wystrzela nas niczym kaczki!

- Opanuj się. Bob - mruknął Jupiter. - Będziemy żyć. I nikt nam nic złego nie zrobi, bo tylko MY wiemy, gdzie jest kombinezon. Zastawiliśmy pułapkę. I o to chodzi. Policja ma nas na oku. Także ci z Chicago. Phil Danca nie pozwoli nas skrzywdzić. Nie powiedzieliśmy, że Loretta jest jego córką. No, cześć!

Ale tego, co do słuchawki nawtykał Mat Wilson, nie da się streścić w dwóch

słowach zważywszy, że dwuminutowy początek jest nie do powtórzenia w porządnym towarzystwie.

- ... I jeśli nie przestaniecie, każę was zamknąć! - kończył zasapany.

Jupiter Jones skorzystał z sekundowej przerwy.

- Przecież teraz ów tajemniczy Zielony Kombinezon będzie się starał za wszelką cenę z nami skontaktować. Sam pan wie, sierżancie, jak się zastawia pułapkę?

Mat jeszcze przeżuwał niecenzuralne słowa.

- Mam was pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Jupiter westchnął.

- Nie ma już nawet dziesięciu. Jeśli jutro, do dwunastej w południe, policja nie złapie narkotykowych bossów, wparują panowie z FBI! Zapomniał pan, Wilson? Oni już czyszczą buty!

Mat przeklinał coraz ciszej.

- Cholerny świat! A takie to było spokojne miasteczko!

- Właśnie - przytaknął Jupiter. - Coś panu poradzę...

- Co? - głos sierżanta przypominał już szmer łagodnego strumyka.

- Zrobimy tak...

W Rocky Beach rzadko bywają ulewy. Już raczej trzęsienia ziemi. Ale to, co waliło z nieba od siódmej rano, podobne było do biblijnego potopu. Jupiter, szeroko ziewając, wpatrywał się w zasnute oparami szyby.

- Co za złośliwość rzeczy martwych - wymruczał, wspinając się na taboret. - Gdzieś tu były ciasteczka czekoladowe...

Telefon zabrzmiał złowieszczo. Głos w słuchawce był zmieniony. Ale z pewnością należał do Izy-papugi.

- Ratujcie! - zaskowyczała. - Oni mnie zabijają!

- Kto? - marzenie o ciasteczkach uleciało.

- Tacy jedni. Powiedzieli, że chcą wymiany.

- Kto chce? I na co? - zaciekawiał się detektyw.

- Właściciel kombinezonu. On mówi, że wiecie, o co chodzi.

- Nic a nic - udawał Jupe. Za wszelką cenę starał się przedłużyć rozmowę. Miał w tym swój cel. No, nie całkiem swój.

- Oni mnie zabijają! - wrzasnęła.

Tak naprawdę Jupe nie wiedział, czy Iza Grubber nie jest w zмовie z

napastnikami.

- Gdzie jesteś? - kawa kipiała w ekspresie. Jupe wciągał w nozdrza miły zapach.

Był niewyspany, ale pełen nadziei.

- Dają wam sto tysięcy...

- Czego? - spytał z wzrastającą ciekawością.

- Dolarów, durniu, dolarów! - ryknęła.

Jupe udawał, że się zastanawia. To dużo pieniędzy dla Trzech Detektywów. Ciotka Matylda mogłaby założyć wymarzone ogrzewanie gazowe.

- Za co?

- Za kombinezon i papierosa.

Jupe miał ochotę parsknąć śmiechem, ale się powstrzymał.

- Tyle dają za stary kombinezon?

- Milcz! - usłyszał niecierpliwe warknięcie. To już nie była Iza Grubber. Gangsterowi powoli puszczały nerwy. - I słuchaj.

- Dobrze.

- Za trzy godziny. W starym doku na północnym wybrzeżu... dawne magazyny Maxwella. Sto tysięcy i dziewczyna w zamian za fanty.

Głucho zabrzmiał przerywany sygnał.

Jupiter Jones skubał wargę. Kawa syczała. Deszcz lał.

- To wszystko jest piekielnie podejrzane - mruzczał półgłosem - dlaczego dopiero za trzy godziny? Chcą załatwić sprawę, zanim do akcji wkroczy FBI? Ci z Los Angeles już grzeją silniki swoich szybkich maszyn. I czyszczą czterdziestki piątki. Czy gangster coś o tym wie? Ma wtyczkę u Mata Wilsona?

Telefon w komendzie nie odpowiadał. Jupiter zastanawiał się, czy choć raz w życiu sierżant Wilson zrobi to, co powinien.

- Pete? Zaczęło się. Zawiadom Boba.

W strugach deszczu wsiadali do starego forda.

- Naprawdę dają sto zielonych? - Bob rozmarzył się. - Wiesz, jaki komputer moglibyśmy kupić? Nie powiedzieliście mi dotąd, gdzie jest kombinezon.

- I nie powiemy - uciął Pete. - Sytuacja jest kryzysowa. Im mniej wiesz, tym dla nas lepiej.

- Ale to nie w porządku! - upierał się Andrews.

Jupiter włączył silnik.

- Znasz trzecią dewizę dobrego detektywa?

Bob wściekle kręcił się na siedzeniu.

- Znam: Jeśli nie musisz pytać, nie pytaj.

Jupiter Jones wziął kurs na północne wybrzeże. W samym mieście ruch był niewielki, ale na szosie gęstniał. Jupe uważnie zmieniał pasy. W sytuacji, jaka zaistniała, nie warto było ryzykować spotkania z patrolem drogowym.

- Dawne magazyny Maxwella? - zastanawiał się Pete. - To duży teren. Pusty od wielu lat.

- Wiem - mruknął Jupiter, zerkając w lusterko. - To on dyktuje warunki. Na razie mamy towarzystwo.

Bob odwrócił głowę.

- Ten czarny wóz terenowy? Jedzie za nami od skrzyżowania.

- Mam nadzieję - skwitował Jupiter - właśnie po to Mat założył podsłuch na nasz domowy telefon. - Za czarnym jest jeszcze zielona półciężarówka. Także od skrzyżowania.

Jupe przygryzł wargi.

- Powinien być tylko jeden. Ale...

To, co zobaczyli we wstecznym lusterku, zaskoczyło całą trójkę. Otóż zielona półciężarówka wyprzedziła wóz terenowy, zahamowała gwałtownie i stanęła w poprzek szosy.

- Do diabła! - wybuchnął Pete. - Wyeliminowali nam obstawę?

- Tak. Teraz jesteśmy zdani tylko na własne siły.

Bob szczął zębami.

- Mają jakąś wtyczkę na komendzie? Chicagowcy? Phil Danca? No, nie wierzę!

Jupiter skupił całą uwagę na szosie. Deszcz przestał lać, ale w dalszym ciągu siąpił. Pogoda też im nie sprzyjała. Są takie dni, kiedy nic się nie udaje. Ale tym razem stawką było życie. Zjechał z szosy szóstym zjazdem. Mżawka sprawiała, że widoczność była bardzo zła. W oddali majaczyły srebrzyste cylindry dawnych zbiorników naftowych. Z czasów gdy w tym regionie Kalifornii pracowały spółki wydobywające ropę naftową.

- Zwolnij - odezwał się Bob, studiując szczegółowy plan wybrzeża.

- Ciężarówka też zwolniła - raportował Pete. - Za nią jedzie osobowy. Jakiś mały, japońskiej produkcji.

Bob poczuł, jak mu cierpnie skóra.

- Wrogowie zwiększają siły. Jest!

- Co? - zaniepokoił się Jupiter.

- Maxwell. Stara reklama firmy. Tam, na lewo!

Podjeżdżali wzdłuż drucianej siatki z wielkimi dziurami. Po obu stronach rosły, zmyte deszczem, gęste krzaki ostrokrzewu. A wśród nich, niczym zwinięte parasole, pożółkłe araukarie. Sielski krajobraz zniszczony przez likwidujący się przemysł. Hale pozbawione okien, potłuczone szkło, stare szmaty, zardzewiałe puszki po chemikaliach i napojach. Totalna destrukcja.

Jupiter przejechał obok czegoś, co kiedyś było wartownią. Drewniana budka pomalowana w żółte pasy nie kryła w sobie strażników. Złamany szlaban unosił ramię w bezsilnym geście.

- I co dalej? Nie widzę zielonego - Bob pocił się, choć deszcz i przenikliwa wilgoć obniżyły temperaturę powietrza. I to znacznie.

- Ukryli się gdzieś za barakami. A ten Japończyk?

- Też zniknął. Jupe, tu jest tysiąc i jeden możliwości. Wyłazimy.

Bobem wstrząsnęły dreszcze.

- Już? I dokąd pójdziemy? Nie widzę żywej duszy.

Jupiter wykręcił forda na wąskim pasku żwiru, ustawivszy go maską do drogi.

- W razie czego będziemy wiać! - spojrzał na przyjaciół. Jakoś żaden z nich nie wykazywał szczególnego entuzjazmu. Ale co mieli robić? Podjęli walkę, bo tak każe pierwsze prawo detektywa: Zgodziłeś się wziąć zlecenie? Wykonaj je możliwie najlepiej!

Żwir nieprzyjemnie zgrzytał pod stopami. Szli gęsiego, wlepiając wzrok w ciemne otwory okien. Nikogo.

- Słyszysz coś? - zaszczekał Bob.

- Nie. Ale nie musimy udawać, że nas tu nie ma. Hej, jest tam kto? - huknął w stronę otwartych drzwi do magazynu.

Odpowiedziała złowroga cisza. Pete podniósł kamyk. Uderzył w zardzewiałą stal. Dźwięk, jaki się rozległ, przypominał zgrzyt noża po szkłe.

- Jesteśmy! - ryknął Jupiter z wzrastającą wściekłością.

- Chyba nas wystawili do wiatru - szepnął Bob, nasłuchując. - Teraz pewnie penetrują Kwaterę Główną, szukając zielonego kombinezonu!

- Nie! - odezwał się metaliczny głos. Brzmiał, jakby człowiek mówił przez tubę.

Odwrócili się jak na komendę. Na wysokości pierwszego piętra, w wypalonym, zrujnowanym przez wandalę wykuszu pozbawionym szyb, rysowała się niewyraźna

postać. Z całą pewnością był to mężczyzna w czarnym kombinezonie i białym, hutniczym kasku na głowie. Twarz zakrywał porządny kawał przyciemnionego pleksi.

- Pan się ze mną umówił? - Jupiter oblizał suche wargi. Nic nie pomogło. Ślina z ust gdzieś zniknęła.

- Wejź na górę! - zahuczało.

- Wszyscy trzej! - ryknął Pete. - Albo wszyscy, albo nikt!

Facet nie namyślał się długo.

- Włażcie. I tak nie macie broni. W odróżnieniu ode mnie! - szcęknął zamkiem karabinu.

- To koniec! - zajęczał Bob. - Ojciec napisze w "Los Angeles Sun" o naszej śmierci.

- Słaba pociecha! - powiedział Crenshaw. Choć był na ogół optymistą, czuł, że sprawy nie wyglądają najlepiej.

Włazili po metalowych schodach zżartych przez rdzę. Jeden nieostrożny krok i można było wylądować o dziesięć metrów niżej. Na złanej deszczem betonowej posadzce.

- Uważaj, Jupe! - Pete podparł Jonesa, który wyraźnie się zachwiał. - Trzymaj się prętu.

Na górze było jeszcze gorzej. Śmierdziało spaloną gumą i starymi szmatami. Pomieszczenie wyglądało niczym siedlisko bezdomnych z całej Ameryki. Ale po żywym człowieku nie pozostał ślad. Nawet narkomani nie chcieli wziąć we władanie hali Maxwella.

- I co teraz? - szepnął Jupiter. Zauważył ze szczerym zdumieniem, że nie odczuwa tak paralizującego strachu jak na dole.

Postać w kasku zniknęła. Facet chyba krył się za jednym z licznych filarów. Pete schylił się po solidny, żelazny drąg.

- Połóżcie fanty i cofnijcie się - zahuczało.

- A sto tysięcy dolarów? - pisnął Bob.

Mężczyzna umilkł. Słyszał kroki i szepty.

- Jest ich dwóch - szepnął Jupe - i dwóch na dole. Widzisz? Koło półciężarówki. Stoi wciśnięta w zaułek. Dlatego nie widzieliśmy z dołu. Ubrani na czarno.

I, na dodatek, coś się działo w okolicy kępy drzew akacjowych.

- Powiedziałem, położyć fanty i cofnąć się.

Jupiter głęboko odetchnął.

- Nie sądzi pan chyba, że się nie zabezpieczyliśmy! Żaden detektyw nie zrobiłby takiego głupstwa. Zostawiliśmy list dla policji. Gdyby nam się coś stało, to... - urwał.

Na dole nagle zakotłowało się. Dwa radiowozy wpadły bez sygnału. I na dodatek trzy wozy terenowe, z których wysypali się uzbrojeni mężczyźni w cywilu.

- Stać! Ani kroku dalej!

Facet w hutniczym kasku uskoczył w bok, puszczając serię z automatu. Zagrzmiało z dołu. Ktoś chwycił chłopców za kołnierze, przyduszając ich do ziemi.

- Leżcie! I ani mru-mru!

Pete przytomnie podczołgał się do bezpiecznej ścianki. Dał znak kolegom. Osłaniała ich od kul. W hali rozpętało się piekło. Jeszcze raz ich wybawca sprawdził, czy nic im się nie stało. Zza czarnej kominiarki błysnęły wąskie, prawie białe oczy.

- Phil Danca! - zawołał Jupiter. - Skąd pan wiedział?

Ale gliniarz z Chicago miał inne zadanie. Ścigał tego, który zasłynął jako narkotykowy boss. Człowiek, który bez zmrużenia oka posyłał na pewną śmierć tysiące ludzi. Johnny'ego Kendalla, wspaniałego perkusistę, Calistę o głosie rozwalającym mury. Tysiące dzieciaków-ćpunów, w tym Lorette.

Bob kątem oka obserwował, co działo się na dole. Wciśnięci w załom solidnej belki pozostali detektywi nie mieli takiej możliwości.

- Wyłapali wszystkich z zielonej półcieżarówki - raportował, nie wiadomo dlaczego szeptem, bo wokół huczały strzały.

- Kto? - denerwował się Jupiter.

- Mat Wilson, Lawson i trzech obcych. Prowadzą skutych do radiowozów - przerwał, bo nagle poczuł zimny kawałek metalu przyłożony do skroni. Podniósł głowę i zmarł.

- Gdzie jest kombinezon? - głos brzmiał znajomo.

- To pan? - wyszeptał Andrews przez ściśnięte gardło.

- Marc O'Grady! Podejrzewaliśmy pana od czasu wizyty w mieszkaniu Calisty! Tylko pan miał klucze, tylko pan mógł zrobić z pięknego penthouse'u melinę dla narkomanów! - syczał Jupiter, nie zważając na wyciągniętą broń.

Pete wolniutko, cal za całem, przesuwał się w lewo. W jego dłoni wciąż tkwił żelazny pręt, którego nie odłożył ani na moment. Rozwścieczony Jupiter gadał jak opętany w odróżnieniu od milczącego Boba z pistoletem przyłożonym do skroni.

- To mój zespół! - syczał O'Grady. W kasku z podniesioną plastikową przyłbicą wyglądał jak skrzyżowanie kosmity z piecowym w hucie. - I mój szmal! Powiedz, gdzie

są dowody przeciwko mnie, a zniknę, zostawiając wam forszę. Szybko!

Bob nagle przestał się bać. Zimna lufa nie robiła na nim takiego wrażenia jak srebrna metalowa walizeczka, którą Marc O'Grady ścisnął w lewej dłoni.

- Tu? - wychrypiał. - Tu ma pan nasze sto tysięcy?

Tupot wielu nóg zbliżał się. Po schodach gnało kilku ludzi. Pete nie czekał. Uniósł się na łokciu i łupnął O'Grady'ego żelaznym łomem. Mężczyzna na moment stracił równowagę. To wystarczyło, by srebrna walizka szerokim łukiem poszybowała dziesięć metrów w dół. Równocześnie huknął strzał i były portier eleganckiego budynku, zamieszkanego przez elity miasteczka, zawisł na rusztowaniach, z bezwładną dłonią, z której wypadła broń.

- Uciekajcie stąd! - krzyknął Phil Danca, chwytając toczący się pistolet.

Bob oddychał niczym ryba wyrzucona na piasek.

- Ale dlaczego? Przecież Marc...

Phil złapał go za rękę.

- Nie tylko jego ścigamy, panowie detektywi! Widzicie tego, który właśnie wieje z walizką?

- Tam jest sto tysięcy dolarów!

Phil osłaniał schodzących.

- Żadne sto tysięcy! Okłamał was. Tam są fiolki i odtrutka. I parę milionów!

Zbiegali po żelaznych, niebezpiecznych schodach, śledząc z góry sylwetkę w czarnym kombinezonie, która wmieszała się w grupę cywili, gestykulując i wskazując zieloną ciężarówkę.

- Nic a nic z tego nie rozumiem! - wołał Bob, łomocząc po żelastwie.

- To kto jest tym drugim bossem? - Pete sprawnie ubezpieczał Jupitera.

- Ja wiem - wychrypiał Jupiter Jones. - To...

Nie zdążył. Pośliznął się i zawisł na metalowej rurze. Zanim uwolnili go przyjaciele, na dole rozegrał się ostatni akt dramatu. Phil Danca, roztrzaskając zdumionych policjantów, usiłował zatrzymać mężczyznę z teczką. Ten już prawie wskakiwał do małej, japońskiej toyoty wyjeżdżającej z kępy drzew.

- Łapcie go! To boss narkotykowy! - wrzeszczał Phil, celując w oponę.

Mat Wilson chciał go zatrzymać. Uciekający wychylił się z auta, które wpadło nagle w poślizg, strzelił, ale nie trafił. Phil Danca wykonał brawurowy skok. Gruchnęło jego magnum czterdzieści cztery. Auto zatrzymało się, wbijając maskę w budkę strażnika. Strzał był śmiertelny.

Policjanci z Rocky Beach i kilku cywili powoli, bez pośpiechu, otaczało wrak toyoty.

- Kto to jest? - wciąż nie rozumiał Mat Wilson.

Chłopcy podbiegli zdyszani.

- Jeszcze pan nie wie? - Jupiter Jones spojrzał mu głęboko w oczy.

Mat niezgrabnie chował do kabury swojego starego colta.

- No nie. Marc O'Grady został tam na górze. A jego trzech ludzi aresztowałem.

Jupiter Jones z uwagą przyglądał się, jak Phil Danca otwiera drzwi toyoty. Zabity gangster ze srebrną walizką w zaciśniętej dłoni wypadł na bruk. Na twarzy miał czarną kominiarkę. Jak paru chłopców z grupy operacyjnej.

- To powiem panu, sierżancie, kto był szefem całej szajki.

- No? - Mat zaciskał pięści.

- Bruno Wexler. Glina z Chicago. Szef nad szefami! - Jupiter Jones miał na ustach cień uśmiechu.

W tym momencie Phil zerwał kominiarkę z głowy zabitego.

- Wexler! - jęknął. - Nie wiedziałem, że mój partner... - Danca osunął się na kolano. Opuścił głowę.

Trzej Detektywi stali bez ruchu. Deszcz znów zabębnił po kałużach. Ale nikt się nie ruszył.

Ciotka Matylda wyjmowała ciasto z piekarnika. Miało kruszonkę i pachniało wanilią. Wokół stołu zasiedli wszyscy zainteresowani: Andrewsowie, Crenshawowie, Pamela Carrol i ruda Debra Winters.

- Wszystko fajnie - powiedziała pierwsza dama dziewiątego kanału CNN - ale skąd Jupiter wiedział, kto naprawdę jest głównym szefem?

- I gdzie, u Boga ojca, schowaliście ten nieszczęsny zielony kombinezon? - wołał papa Andrews, delektując się mocną, aromatyczną kawą.

Jupiter Jones uniósł dłoń. Jego palec wskazywał drzwi do łazienki.

Ciotka Matylda postawiła ciasto na środku stołu.

- W pralce?

Pete przecząco kręcił głową.

- Nie. Ale ciepło... ciepło...

Mama Crenshaw wstała.

- Matyldo droga, trzeba to sprawdzić.

Ciotka skinęła głową. Wróciły niepokieszone.

- Nie ma. Kombinezon to nie szpilka.

Jupiter uśmiechnął się szeroko.

- Najlepiej ukrywa się wszystko pod świecą latarnią. Jaką zasłonkę mamy w oknie łazienki?

- Zieloną... Jupe? Tam?

- Tak - odparł zapytany. - Ten sam kolor. Udrapowaliśmy w piękną falbanę. Nikt nie zauważył. Ale jutro odwieziemy do laboratorium panny Sanchez. I papierosa. To są dowody sądowe.

Bob, choć nie wtajemniczony w sprawę łazienkowych falbanek, cieszył się jak dziecko.

- Marc O'Grady chciał mnie zabić. Phil Danca postrzelił go w rękę. A Pete ułatwił sprawę. Walnął go żelaznym drągiem. Marc żyje i stanie przed sądem.

Wuj Tytus ssał zimną fajkę. Odzwyczajał się od palenia.

- Jupiterze, nie odpowiedziałeś pannie Winters, skąd przyszło ci do głowy, że z O'Gradyem o fiolki, pieniądze i wpływy w narkorykowym biznesie walczy chicagowski policjant?

Jupiter wypiął pierś. Sięgnął po zmięty kawałek papieru.

- Pamiętasz, Bob, kartkę, którą dostałeś od Tapsa? Tę pisaną zielonym długopisem?

- Tak. Włączyłem ją do naszych akt.

- Ktoś napisał na niej: "Oddasz przesyłkę albo zginiesz! B."

Debra Winters wzruszyła ramionami.

- I co z tego? Każdy mógł się podpisać literką "B".

Jupiter wyjął z kieszeni druczek.

- To mandat, jaki zastałem za wycieraczką forda dziś rano. Pisany tym samym długopisem i charakterem. Proszę!

Pete kręcił głową z podziwem.

- Nikt z Rocky Beach nie wypisuje mandatów na takich druczkach. Ani zielonym długopisem. Podpis Wexlera. jak wół.

- Wpadł tak głupio! - kręcił głową papa Andrews.

- To się nadaje do wieczornych wiadomości, Jupe! - Rudowłosa wcinała już trzeci kawałek ciasta.

- Nie jedz tyle słodczy - uśmiechnął się ciepło Pete. - Bo będziesz musiała kupować suknie w sklepie z namiotami!

Wszyscy się roześmieli.

- Bruno Wexler nie żyje - kontynuował Jupiter. - Cywile, którzy przyjechali wraz z policją pod magazyn Maxwella, należeli do Wydziału Wewnętrznego Policji, są aż z Waszyngtonu. Śledzili Wexlera od roku. Niestety, Phil Danca traktował go jak najlepszego partnera. Bo Bruno nigdy nie doniósł, że Loretta, to znaczy Candice, jest narkomanką. Phil zostałby natychmiast odsunięty, a Bruno mógł dostać za partnera kogoś bardziej domyślnego. Cały czas udawał, że pomaga w poszukiwaniach córki przyjaciela. A tak naprawdę, to on wciągnął nastolatkę w aferę z fiolkami. I cały zespół High Tower Record. Wexler wcześniej wykończył już paru innych bossów. Między innymi w Chicago.

- A co z Loretta?

- Wyjdzie z nałogu - dorzucił Pete. - Także Calista. To Marc wstrzyknął jej truciznę, bojąc się, że dziewczyna go podejrzewa.

- A podejrzewała? - Debra smętnie spoglądała na ciasto.

- Skądże! - Bob czyścił okulary. - Odtrutkę znaleziono w pakamerze, którą Marc O'Grady miał w agencji Saxa. Niestety, Brandon Falk też był w to zamieszany. Marc z kumplem uspili dziewczyny w salonie kosmetycznym. Ich z kolei śledzili Loretta i Brandon, który dla zmylenia włożył zieloną chustkę. Dziwny zapach wydzielał Hydrotox BTW z rozbitej przypadkiem fiolki. Cały zespół, z wyjątkiem pianisty, był zamieszany w rozprowadzanie nowego specyfiku. Nie wiedzieli, głupcy, że to śmiertelna trucizna. Sami uzależnieni, nie chcieli zdradzać dostawcy.

- Szkoda zespołu. Już nigdy nie zagrają razem na koncercie.

Ciotka Matylda otarła łzę.

- Będzie inny wielki koncert w sali Saxa - powiedział Pete. - Wielcy rockmeni z Nowego Jorku, Denver i Los Angeles wystąpią na rzecz uzależnionych kolegów. Bilety są po sto dolarów.

- Szkoda! - zmartwił się Bob. - Tym razem nie dadzą mi darmowych wejściówek.

Debra pogrzebała w torbie z czarnej skóry.

- To prezent. Od Phila Danki. Dla was. Trzy bilety w piątym rzędzie. A tu macie honorarium od dziewiątego kanału CNN. Zasłużyliście!

Dziennikarka popchnęła bilety wraz z kopertą w stronę chłopców.

- Wielkie dzięki - zacukał się Jupiter - rzadko kiedy zarabiamy jako detektywi. Cieszę się, że pójdziemy na ten koncert!

- Ale wcześniej odbierz telefon, który dzwoni już od godziny - westchnął Pete - mam nadzieję, że to jakaś nowa sprawa dla Trzech Detektywów.

- Zgiń, przepadnij siło nieczysta! - ciotka zamachała rękami, a reszta towarzystwa wybuchnęła śmiechem. - Kto to był, Jupiterze?

- Mat Wilson. Mówił, że jak jeszcze wejdziemy mu w drogę, to zrobi z nas odpady nuklearne.

- Chociaż raz zajmie się czymś pożytecznym - ucieszyła się ciotka Matylda. - Komu ciasta?

Rudowłosa z determinacją podsunęła talerzyk. Zza firanek wyjrzało słońce.